Nr. 172. Lwów — Piątek dnia 30 Lipca. Rok 1897.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „

Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową: w kraju i w Austryi miesięcznie ... w Niemczech ... w innych państwach ...
Za zmianę adresu dopłaca się 20 ct.
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 10 ct.
w „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo tłustym petitem po . . . . .
tłustym garmondem po . . . . .
Korespondencye prywatne za każde słowo tłustym petitem po . . . .

Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . 20 ct. | Nekrologia . . 20 ct.
Ogłoszenia do Przeglądu przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.
Ogłoszenia nad przeglądem politycznym 30 ct. od wiersza.

Dziś: 30	św. Abdona i Senny 17	Jemyłyana	Adres Redakcyi i Administracyi Ulica Sykstuska l. 45.	Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.	Wschód słońca o 4 m. 39	Długość dnia g. 14 m. 53
Jutro: 31	św. Ignacego Loj 18	Makryny Prep.			Zachód „ „ 7 „ 32	Ubyło dnia od wczoraj 3 m.

Czas odnowić prenumeratę. Wynosi ona na prowincyi:

Miesięcznie 1 zł. 10 ct.
Kwartalnie 3 „ 30 „
Półrocznie 6 „ 60 „
Rocznie 13 „ 20 „

Za zmianę adresu dopłaca się 20 centów.

Przegląd polityczny.

Lwów 29 lipca.

Wiadomości ze stolicy Węgier zmieniają się obecnie jak pogoda w marcu. Wczoraj jeszcze doniesiono, że nie ma żadnej nadziei ugłaskania opozycyi i dla tego br. Banffy, a wraz z nim najwybitniejsi mężowie liberalnego stronnictwa postanowili użyć najenergiczniejszych środków i w tym celu ogłosić sejm nieustającym choćby nawet aż do końca bieżącego roku. Dzisiejsza depesza natomiast donosi, że opozycya niespodziewanie zaniechała wczoraj obstrukcyi, zapisani mówcy z jej szeregów zrzekli się głosu i dzięki temu ukończono obrady nad wnioskiem Banffy'ego o przedłużenie posiedzeń o godzinę i przyjęto ten wniosek. Zdawałoby się, że właściwie br. Banffy zwyciężył, a obstrukcyoniści w ostatniej chwili przelękli się swego dzieła i kapitulowali. Kto zna jednak stosunki węgierskie, ten jest innego zdania i musi przypuszczać, że raczej br. Banffy namyślił się w ostatniej chwili i podwoił swą uprzejmość względem opozycyi. Onegdaj konferował on długo z prezydentem sejmu p. Szilagyim. Jest to jeden z tych koryfeuszów liberalnego obozu, którzy od samego początku obecnego konfliktu dążyli do kompromisu. Całą metodą prowadzenia obrad dał p. Szilagyi niedwuznacznie do poznania, że nie jest zwolennikiem przymusowych środków parlamentarnych.

W razie rozpoczęcia otwartej wojny między rządem a opozycyą cały ciężar obstrukcyi zwaliłby się na jego barki, jako przewodniczącego obradom, być więc łatwo może, że dał on Banffy'emu do poznania, iż ustąpi z fotelu prezydyalnego w razie, gdy wojna będzie zadecydowana. Przesilenie w łonie prezydyum sejmu na samym początku kampanii byłoby już pierwszą klęską rządu. Inne jeszcze względy wielkiej doniosłości mogły skłonić Banffy'ego do cofnięcia się o kilka kroków wstecz od punktu, na którym już stanął. Znając dzieje Węgier, wie on, że tego rodzaju wojna, jaka wybuchłaby po wniesieniu projektu obostrzenia regulaminu, nie ograniczyłaby się na samą salę sejmową, lecz ogarnęłaby cały kraj i wytworzyłaby ferment, którego skutków na razie nawet przewidzieć nie można. Opozycya walczyłaby pod tak sympatycznemi hasłami, jak obrona wolności słowa i nieobciążanie Węgier większą kwotą wspólnych wydatków, i większa część ludności stanęłaby po stronie opozycyi. Żaden jeszcze rząd węgierski, który energią chciał zwyciężyć obstrukcyę, nie zwyciężył. Ulegli jej Lonyay i Szapary, a nawet tak sprytny i niewyczerpany w pomysłach polityk, jak Koloman Tisza, nie mógł sobie dać z nią rady, pomimo że miał za sobą większość co najmniej równie silną, jak dziś ma Banffy.

To też wszystko przemawia za tem, że jeżeli wczorajsze zaniechanie obstrukcyi nie jest tylko zaimprowizowanym manewrem opozycyi, lecz opiera się na jakichś zakulisowych rokowaniach, to stroną kapitulującą nie jest opozycya. Zresztą jutro powinna się wyjaśnić sytuacya. Jeżeli Banffy nie zgłosi jutro zapowiedzianego wniosku obostrzenia regulaminu, w takim razie on kapitulował, a jeżeli go zgłosi, w takim razie dopiero rozpocznie się jedna z najzaciętszych walk parlamentarnych.

Także na innem polu zaogniły się stosunki polityczne na Węgrzech. Oto ludność serbska w południowych Węgrzech, reprezentowana na kongresie cerkiewnym w Karłowicach wystąpiła jawnie przeciw rządowi. W kilku słowach donieśliśmy już wczoraj o co idzie spór. — Rząd, reprezentowany na kongresie przez komisarza królewskiego bar. Nikolicza, zaraz na pierwszem posiedzeniu domagał się, aby kongres uchwalił jak najrychlej organizacyę prawosławnej cerkwi serbskiej na Węgrzech. Tymczasem większość kongresu uchwaliła porządek dzienny, zawierający przedewszystkiem wiele spraw administracyjnych, tudzież uregulowanie autonomii cerkiewnej, a organizacyę cerkwi umieszczono dopiero na ostatniem miejscu. Komisarz oświadczył na to, że takie przewlekanie sprawy, na której rządowi najwięcej zależy, jest sprzeciwianiem się woli monarszej i wezwał kategorycznie kongres, aby wszystkie inne sprawy odłożył na bok, a zajął się przedewszystkiem tą jedną.

W milczeniu wysłuchali członkowie kongresu tego wezwania, poczem przewodniczący przerwał posiedzenie na godzinę. Gdy je na nowo otworzył, wstąpił na trybunę wiceprezes kongresu br. Ziwkowicz i odczytał podpisaną przez 61 uczestników rezolucyę, w której kongres, zapewniając króla o swej wierności i uległości, oświadcza, że przez uszanowanie dla ustaw, zapewniających autonomię narodowej cerkwi serbskiej, nie jest w możności uczynić zadość wezwaniu komisarza królewskiego i zmienić porządku dziennego. Rezolucyę tę uchwalono bardzo znaczną większością, poczem komisarz królewski zawiesił dalsze posiedzenia kongresu, a część jego uczestników rozjechała się do domów. Tak więc i na południowych kresach królestwa węgierskiego wytworzył się nastrój rozdrażniony.

Pojutrze kończy się moc obowiązująca ustawy, uchwalonej na rok jeden, na mocy której podwyższono podatek konsumcyjny od cukru z 11 na 13 zł. od centnara metrycznego, a z 5 na 9 milionów sumę premii, jakie otrzymują fabrykanci za cukier wyprodukowany w naszej monarchii a wywieziony za granicę. —

Ponieważ parlament austryacki nie przedłużył owej ustawy na rok następny, a nie ma także nadziei, aby sejm węgierski mógł to uczynić przed sobotą, przeto właściwie powinien rząd już od niedzieli, tj. od 1go sierpnia pobierać niższy podatek od cukru tj. 11 zł. od centnara czyli 11 centów od kilograma, a fabrykanci powinni w najbliższej kampanii otrzymać za wywieziony cukier premie tylko w sumie 5 milionów, a nie 9ciu. Zdaje się jednak, że to nie nastąpi i że fabrykanci otrzymywać będą tymczasowo i nadal wyższe premie a fiskus pobierać będzie wyższy podatek. Podobno bowiem oba rządy zamierzają przeprowadzić to w ten sposób iż odnośna ustawa, jakkolwiek uchwalona będzie, może dopiero w jesieni, zawierać będzie klauzulę, iż działa ona wstecz, tj. od 1go sierpnia.

Pokazuje się to między innemi stąd, że fabrykanci cukru rozesłali do kupców cyrkularz, w którym zawiadamiają ich, że ponieważ istnieje zamiar wyposażenia odnośnych ustaw w moc działania wstecz, przeto oni aż do ostatecznego rozstrzygnięcia tej sprawy ustanawiać będą ceny cukru nadal na podstawie podatku 13 zł. od centnara. Gdyby jednak oba parlamenty nie przedłużyły na rok następny tego wyższego podatku 13 zł. od centnara, w takim razie fabrykanci zobowiązują się zwrócić kupcom tę różnicę podatku, t. j. 2 zł. od centnara.

A zatem, jakkolwiek sprawa ta wypadnie, fabrykanci, wielcy hurtownicy i kupcy są pokryci, zaś publiczność konsumująca zapłaci koszta. Ona musi wciąż płacić w cenie cukru 13 centów podatku od kilograma, a chociażby w jesieni parlamenty nie przyjęły odnośnej ustawy i podatek wrócił do niższej stopy 11 ct. od kilograma, nikt publiczności nie zwróci zapłaconego raz podatku.

KORESPONDENCYE.

Poznań w lipcu.

Broszury antypolskie, hakatystyczne, sypią się jak z rogu obfitości. Świeżo znów wyszła napisana przez Karola Jacobsohna z Lipska a poświęcona Miquelowi, w której autor zajmuje się kwestyą emigracyi polskich robotników rolnych do Prus w porze żniw i przychodzi do takiej konkluzyi: „Prusy jęczą pod jarzmem polskiem! Polacy kolonizują Prusy!“ — Autor broszury nazywa „nieszczęściem“ wpuszczanie robotników z Królestwa polskiego i z Galicyi do Prus. Kiedy w roku 1892 pozwolono robotnikom polskim z Królestwa polskiego i z Galicyi szukać zajęcia w obrębie Prus, przybyło ich 19.000, a w roku zeszłym przybyło ich już 30.000 w porze żniw. Od chwili zniesienia przymusu paszportowego nastąpiła tłumna emigracya. Już Prusy robotnikom polskim nie wystarczają; pochód ich kieruje się na Alzacyę, Lotaryngię, a nawet na Szlezwik i Holsztyn. Koloniści polscy wydzierają Niemcom rolę, polski średni stan mieszczański wypiera kulturę niemiecką. W samym Poznaniu w roku 1876 było rzemieślników polskich blisko 37 procent, a kupców 22 pct. Teraz jest polskich rzemieślników 50 pct., a kupców 37 pct. Całe kresy wschodnie spolszczeją za lat 20... Niebezpieczeństwo jest wielkie, jeżeli się nadto zważy, że emigrujący do Prus robotnicy wypychają ludność polską — osiedloną w W. Ks. Poznańskiem — dalej na zachód. I tak ta wędrówka polska ogarnęła Westfalię, Hanower, Saksonię! „Na wszystkich krańcach naszej ojczyzny odprawia się polskie nabożeństwa i czyta się polskie gazety!“ woła zrozpaczony p. Jacobsohn. Powinno się już raz powstrzymać wyrzucanie Niemców ze wschodnich prowincyi państwa przez obcych i wrogich niemieckości przybyszów. Następnie prąd kolonizacyi niemieckiej należy skierować na Poznańskie i to w ten sposób, „żeby Niemcy mieli zupełną hegemonię nad Polakami“. Jeśli niemieckość chce równym krokiem kroczyć z polszczyzną, to musi się corocznie osiedlać w Poznańskiem 4000 robotników niemieckich.

Tak utrzymuje broszura hakatystyczna. Naturalnie polemika z nią jest zbyteczna; wystarczy tylko przy tej sposobności zaznaczyć, jaki jest los tych robotników polskich w Niemczech. Oto pracodawcy Niemcy obchodzą się z nimi w sposób tak oburzający, że pisma niemieckie rozmaitych okolic wołają o pomoc dla tych biedaków. Wyzyskuje ich akordnik, wyzyskuje właściciel wsi, żywią ich często gorzej niż bydło i nierogaciznę u siebie, płacą jak najgorzej, przy wypłacie zatrzymują znaczne kwoty z zarobku dla swej pewności, wyszydzają ich religijne potrzeby i praktyki, znęcają się nad ich mową ojczystą, a robotą obarczają nad siły, narażając zdrowie i moralność w wysokim stopniu przez nader niegodne ludzkich istot pomieszczenie. Biedacy ci, nie umiejąc znaleść sobie ratunku i rady w obcych im zupełnie stosunkach, ratują się zwykle ucieczką, a wtedy odbywa się pogoń za nimi, turbowanie, bicie, wiązanie, transportowanie z powrotem lub odstawianie całej gromady do granicy. Zajścia takie zdarzają się bardzo często na Szląsku i mają w niektórych prowincyonalnych pismach niemieckich stałą swą rubrykę. I jakże wśród takich warunków może być mowa o kolonizacyi polskiej i o niebezpieczeństwie dla niemieckości?!

Nasze Towarzystwa — jak zwykle — cierpią zawsze pod obuchem rozmaitych zakazów. Oto świeżo zakazano zabaw i pochodów pod gołem niebem Towarzystwom przemysłowym i Kołom śpiewackim polskim w Kościanie, Trzemesznie, Miłosławiu, Gniewkowie, Gnieźnie i Szamotułach, gdy tymczasem w Rawiczu odbył się bez najmniejszej przeszkody wielki prowincyonalny zjazd Kółek śpiewackich niemieckich, na który zjechali się bardzo licznie członkowie niemieccy z Poznańskiego i z prowincyi sąsiednich, a nawet z Łodzi.

„Te ryczałtowe zakazy — pisze *Schlesische Volks-Ztg.* — polegają, jak się zdaje, na tajnem rozporządzeniu ministeryalnem. Sprawdzić to trudno, ale dużo przemawia za prawdopodobieństwem podobnego twierdzenia, a mianowicie ta okoliczność, że wyższe władze wszędzie potwierdzają zakazy władz niższych. Przypuszczają tedy, że władzom niższym polecono wydawać zakazy wszędzie, gdzie widzą „niebezpieczeństwo naruszenia spokoju publicznego“, na mocy znajomości stosunków miejscowych z bliska. — Władze te oczywiście korzystają z tego pełnomocnictwa na niekorzyść ludności polskiej wszędzie tam, gdzie urzędnicy podlegają wpływom hakatyzmu. — Jeżeli jednak — mówi dalej ta gazeta — przypuszcza ktoś, że tym sposobem zgermanizuje się Polaków, to grubo się myli. Skutek będzie wprost przeciwny, a na najbliższych wyborach do parlamentu germanizatorowie otrzymają stosowne pokwitowanie.“

Wskutek wspomnianych powyżej zakazów wyjątkowy a bardzo pocieszający zdarzył się objaw w miasteczku Swarzędzu leżącem o półtorej mili od Poznania. Tamtejsze polskie Towarzystwo przemysłowe zamierzało tak jak lat innych i w tym roku odbyć majówkę. Na takie niewinne majówki potrzeba w Prusach, jak wiadomo, specyalnego pozwolenia policyi. Otóż Towarzystwo pozwolenia tego nie uzyskało. Porozumiały się tedy z sobą polskie rodziny i postanowiły odbyć prywatnie wspólną wycieczkę do pobliskiego lasku, na co po długich staraniach za pośrednictwem miejscowego lekarza Niemca uzyskały pozwolenie od radzcy ziemiańskiego.

Zabawa — w której brało także udział dużo rodzin niemieckich — udała się znakomicie. Ale na tem nie koniec. Zakaz policyi skłonił swarzędzką Radę miejską do wystosowania do Towarzystwa przemysłowców rezolucyi, w której wyraża żywe ubolewanie z powodu surowego wystąpienia policyi. Rezolucya ta kończy się tak: „Ani Towarzystwo przemysłowe, ani inne tutejsze stowarzyszenia obywatelskie nigdy nie dały powodu do takiego twardego zarządzenia. Pozostawiamy do woli zarządowi Towarzystwa — gdyby przeciw temu zakazowi założyło u odnośnej władzy zażalenie — powołanie się na tę naszą rezolucyę, oraz na niezadowolenie panujące ogólnie wśród naszego obywatelstwa z powodu tego zakazu.“ Owóż sympatyzująca z nami *Posener Zeitung* zwraca uwagę na oba te fakta, stwierdza z żywem zadowoleniem, że Niemcy przecież mogą w Poznańskiem w bardzo przykładnej zgodzie żyć z Polakami, a o wspomnianej rezolucyi tak pisze: „Dzielna ta rezolucya zasługuje na uwagę daleko poza granicami naszej dzielnicy, bo jest ona wyrazem opinii całego niezależnego obywatelstwa, które na hecy narodowościowej cierpi najwięcej.“

Już kilka razy w ostatnich czasach objawiał się taki zwrot w usposobieniu lepszej części niemieckiej ludności w naszym kraju. Oto niedawno odbyło się tu walne zebranie niemieckiego stronnictwa wolnomyślnego, na którem uchwalono rezolucyę, potępiającą nowy projekt ustawy o stowarzyszeniach. Na zebraniu dyskutowano także nad agitacyą hakatystyczną i podniosły się liczne głosy potępiające wstrętne i przeciwne duchowi swobody machinacye tego bractwa.

Najwyższy trybunał administracyjny w Berlinie wydał w bieżącym miesiącu dwa bardzo ważne dla stowarzyszeń polskich wyroki. W jednym wypadku chodziło o to, iż Towarzystwo gimnastyczne „Sokół“ w Grudziądzu, donosząc policyi o swojem zawiązaniu, przesłało statut w języku polskim. Policya nie chciała uznać Towarzystwa i zwróciła mu doniesienie wraz ze statutem, żądając, aby dostarczono tłómaczenia niemieckiego. Zarząd protestował przeciwko temu rozporządzeniu i odniósł się w ostatniej instancyi do najwyższego trybunału administracyjnego. Ten przyznał zarządowi słuszność i orzekł, iż towarzystwo nie ma obowiązku przedskładania statutu w języku niemieckim.

Drugi wyrok odnosi się do sprawy tłómaczenia sztuk dramatycznych. W Prusach zachodnich, a nawet częściowo i w Księstwie Poznańskiem, żądano od pewnego czasu, aby polskie Towarzystwa i osoby prywatne, urządzające teatry amatorskie, przedkładały sztuki teatralne, deklamacye i pieśni w niemieckiem tłómaczeniu, a często nawet czyniono takie trudności, że przyjmowano tylko przekłady rządowych tłómaczy. Gdy policya w pewnem mieście w Prusach zachodnich zażądała niemieckiego tłómaczenia sztuki teatralnej, która miała być wystawiona na scenie amatorskiej, oparł się temu komitet, urządzający to przedstawienie. Rekurs do najwyższego trybunału wniesiony, został przyjęty, trybunał bowiem orzekł, iż żądanie policyi jest nieuzasadnione.

W Toruniu odbyła się niedawno misya OO. Redemptorystów z Galicyi w celu propagowania wstrzemięźliwości. Misye te powtarzają się w tych okolicach dość często i to z bardzo dobrym skutkiem. Staraniom duchownych przychodzi w pomoc dobra wola świeckich osób, między któremi szczególną energią w tym kierunku odznacza się Stanisław Wojciechowski, kupiec. Mieszkał on dawniej w Chrystyanii w Norwegii i tam miał sposobność nauczyć się gorliwości w walce z pijaństwem. Przybywszy do swej ojczyzny, starał się zaszczepić wśród tutejszego społeczeństwa także tę samą gorliwość i dał inicyatywę do założenia kilku świeckich towarzystw wstrzemięźliwości pod nazwą „Jutrzenka“. Niektóre z tych towarzystw wcale nie źle prosperują. Propagatorami ich są głównie Józef Chociszewski i dr. Celichowski. Wychodzi też specyalne pismo dla celów tych „Jutrzenek“.

Przy końcu lipca wraca do nas z Królestwa Polskiego nasz teatr prowincyonalny i rozpocznie przedstawienia w Lesznie, Kościanie i Grodzisku. *Gazeta Ostrowska* rzuca wobec smutnych warunków teatru prowincyonalnego piękną myśl ugruntowania jego bytu i apeluje do spółki akcyjnej i rady nadzorczej teatru poznańskiego, aby pomyślały o składkach i darach prowincyi na teatr i spełniły swój obowiązek, boć i prowincya potrzebuje teatru.

---

6)

Z wycieczki do kąpiel w Boulogne.

(Ciąg dalszy).

Już mamy niezadługo pożegnać te obce strony, z któremi tak łatwo dusza się zrosła.

Wczoraj pięknie było, bardzo pięknie na świecie: morze, wzgórza, kopuła bazyliki i szeroka wstęga Liany, maszty parowców i żagle rybackich stateczków skąpane były łagodnem światłem słońca jesiennego.

Ślicznie było. Wiatr ustał, morze się ukoiło, cisza panowała, wszystko zdawało się w zadumie słodkiej być pogrążone.

I znowu dążymy... nad morze naturalnie. Słońce miało się ku zachodowi, zanim doszłyśmy do „jetée en eau profonde“. Tam praca około wielkiego portu trwa dzień cały, ale wieczorem głucha pustka... nikogo.

Na zachodzie słońce już, już ma się zapaść w oceanie. Za to horyzont roztopione srebro eteru.

Od północy chmury zbitym wałem ciągną, aż straszno spojrzeć w tę stronę. Wiatr także powstał i świśnie czasem przeciągle nad uchem, poczem przyczai się pod ścianami wzgórzy. Księżyc w pełni, jak złoty transparent, zawisł na srebrzystym stropie; od czasu do czasu czarna chmurka twarz mu zasłoni, ale w przelocie tylko, mknie z pośpiechem dalej.

— Wiesz, Kiciu — mówię — te czarne chmury, które się tak śpieszą, to jacyś gońcy złowróżbni, one pewnie dążą na sukurs tej szkaradnej chmurze na północy.

Kicia, wedle fantazyi, bywa to pesymistką, to znowu optymistką krańcową i odpowiada teraz:

— Gdzie tam! słońce dzisiejsze na długo wszystkie chmury wypędziło; będziemy miały najpiękniejszą pogodę.

Odpowiada tak, bo wybierałyśmy się na długi spacer za entuzyastyczną aprobatą Buma, który machał ogonem, jak wahadłem maszyny elektrycznej.

— Aby dojść do Portel, zapóźno już dzisiaj.

— Przy dobrej woli — mówi Kicia, która przepada za awanturniczemi przygodami.

Portel jest najmniej o półtory godziny drogi od Boulogne; maleńka przystań rybaków, główne siedlisko uroczych „matelottes“, położone na urwistych, skalistych i przepaścistych wybrzeżach morza.

Prześliczne, pełne uroku gniazdko, do którego, gdy morze jest nizkie, łatwy przystęp po piaszczystym gruncie, między złomami kamieni.

W czasie przypływu jednak trudno się tam dostać, a śmiałek, któryby się tam puścić odważył, nie znając godzin przypływu i odpływu, łatwo mógłby się spotkać z zaczajoną po za ślizkiemi złomami głazów śmiercią.

Teraz właśnie morze przybierało, więc też Kicia dała sobie wyperswadować Portel; a za cel podróży obrałyśmy mur, otaczający wysoki nasyp ziemi i wsunięty w głąb morza, nasyp ten ma służyć w przyszłości na skład towarów przy wielkim porcie, teraz podobny do zapuszczonego cmentarzyska, smutny i pusty.

Mur, ujmujący go jak w ramę, ma ze dwa metry szerokości, wznosi się wysoko, nad morzem, a dążąc tym wązkim pasem kamiennym, można dostać zawrotu głowy.

Ale przecież w razie nadzwyczajnej emocyi potrzeba tylko zeskoczyć z metra wysokości na nasyp; więc jeżeli się ryzykuje zawrót głowy, to z poczuciem zupełnem bezpieczeństwa.

Dążyłyśmy tedy po owym murze, trzymając się mocno jedna drugiej, bo morze, przybierając, już uderzało o stopy kamienistej zapory; poręczy nie było, więc miało się wrażenie zawiśnięcia na wązkiej kładce nad falującą przepaścią.

Gdy nam się trochę w głowie mącić zaczynało, spoglądaliśmy w stronę ziemi; zeskoczyć tylko potrzeba, więc mowy nie ma o niebezpieczeństwie.

Już słońca nie widać, księżyc płynie w całym majestacie i osrebrza fale coraz to bardziej zjeżone.

Od strony miasta kurtyna gęstej mgły zapadła, a raczej wysuwała się zwolna z morza i podnosiła coraz wyżej i wyżej, odcinając ziemię od oceanu.

Chmury na północy dały sobie wyraźnie *rendez-vous*; jedna za drugą, niby jakieś chimery, straszydła i dziwolągi, mknęły ku wielkiej czarnej masie, albo pełzały ociężale.

— Wiesz co, Kiciu? Lepiej wróćmy; wiatr się zrywa, morze się burzy, niewiadomo, co to z tego będzie?

— Ale księżyc ślicznie świeci, a tu jesteśmy na pół drogi; wszystko jedno, czy wracać, czy iść dalej.

Choć trochę straszno, ale pięknie na świecie, a Kicia po części ma słuszność; to prawie wszystko jedno. Więc trzymamy się tylko coraz silniej i rzucamy wzrok trwożny na morze, które podnosi się coraz wyżej i wyżej; ale nam nic nie grozi, bo nad ów mur, po którym idziemy, nie wzbiło się ono nigdy.

Tymczasem wiatr już nietylko wygwizduje, ale na całej swej orkiestrze grać zaczyna; powoli wszystkie upiory i wiedźmy zaczęły szumieć, chichotać, wyć i ryczeć, a księżyc coraz częściej czarną chmurą srebrną twarz swoją zakrywał.

— Będzie źle! Zeskoczmy tu na ziemię.

— Kiedy tu właśnie najwyżej, nie zeskoczymy tak łatwo.

— Prawda! trzeba iść dalej po murze.

Więc teraz trzymamy się już konwulsyjnie, jedna drugiej i nie śmiemy głowy na bok zwrócić, ale oczy mimowolnie dążą ku falom i zatrzymują się na tych stutysięcynych, groźnych ramionach, które z szumem ku nam się wznoszą, radeby ściągnąć ofiary w otchłań bezbrzeżną. Brrr...

Coraz ciemniej się robi, grunt jeszcze odróżniamy, ale niewyraźnie, i już nie wiemy, jaka wysokość dzieli nas od niego — metr, dwa czy może i pięć.

To tylko wiemy, że na tym nasypie mnóstwo gruzów po jakichś dawnych robotach i że, skacząc na niewidziane, można łatwo nogę złamać.

Więc idziemy dalej na wyniosłości, pomiędzy przepaścią morską a ziemią.

Od morza głowy odwracamy, uciekłyśmy już zupełnie; dążymy za Bumem, ale, nie Bumem zajęte: on, gdy zechce, to zeskoczy i nic mu się złego nie stanie.

Nie Bum nam na myśli, dałybyśmy w tej chwili całe królestwa nasze, by, zamiast pokutować na murze wśród świstu wiatru rozhukanego, przy problematycznem i coraz bardziej ponurem świetle księżyca, by zamiast odczuwać za nadto silne wrażenia, siedzieć sobie cicho na szezlongu w naszym saloniku — Kicia z książką pani Craven, ja z Dickensem.

Mój Boże! Jeszcze tak długi pas muru do przebycia, a zeskoczyć nie mamy odwagi, iść naprzód — też bardzo nie wiele; usiąść na murze i czekać światła dziennego? noc całą? — to już chyba najmniej. Bo i zimno się robi, choć z wielkich emocyj w tej chwili zimna nie czujemy.

Co za zgiełk w powietrzu! wszystkie złe duchy hulają nad morzem, a księżyc siny od czasu do czasu z za chmur ironicznie się uśmiecha.

Już by nas też wicher zdmuchnął z tej wyżyny w owe złowieszcze ramiona, pełzające ku nam, gdyby nie kres podróży fantastycznej, do sennej zmory podobnej. Już jesteśmy tuż przy wysokim ostrokole, dzielącym mur od reszty stałego gruntu.

Zaczynamy swobodniej oddychać, wiemy, że tu jest wyjście.

Tak jest, ale, niestety, zamknięte! Że je na noc zamykają, nie wiedziałyśmy o tem!

Wtedy ogarnia nas zupełna rozpacz.

I jakże mamy wracać, po tym samym wązkim pasie muru, wśród ciemnej nocy, burzliwej, strasznej! Nie, to niemożliwe.

Tu Bum okazuje się zbawcą; zeskakuje na ziemię i skomląc, wzywa nas widocznie za sobą, w tej chwili księżyc zabłysnął; spostrzegamy głowę poczciwego wyżła, opartą o mur, więc skoro Bum nie jest psem pana Twardowskiego, ale bardzo ortodoksyjnej Kici, skoro w powietrzu wisiećby nie potrafił, zatem łatwa dedukcya, że się łapami o grunt opiera, że zatem jesteśmy oddalone od ziemi tylko o długość Buma; więc o mały włos, że nie przytrafiła nam się przygoda bohaterów Sienkiewicza, „Tej trzeciej“. Mogłyśmy noc na murze przepędzić, aby ze dniem przekonać się, iż tylko metr jeden dzieli nas od ziemi. Zeskakujemy, ale to jeszcze nie ostatnia przeszkoda, bo ostrokół ciągnie się daleko, zamknięty będzie dokoła prawdopodobnie, więc może jednak przyjdzie nam tu noc przepędzić.

Deszcz kropić zaczyna, a wicher coraz bardziej szaleje, wołamy o pomoc, ale bez nadziei, by nas kto mógł usłyszeć wśród takiego dzikiego hałasu.

Raptem o dziwo! Bum szczeka, ale szczeka po drugiej stronie ostrokołu... którędyż się tam dostał?

Wracamy, rękoma szukając po ostrokole przejścia; wprawdzie nie wiemy jeszcze, czy się tam przecisnąć zdołamy, gdzie się Bum przecisnął, ale próbować można.

Nareszcie! dzięki Niebu! znajdujemy otwór i nizki i ciasny, ale możliwy; jak myszy przesuwamy się na drugą stronę i, utykając na dalszym ciągu rozrzuconych gruzów, pomiędzy stosami suchych gałęzi z wapiennemi głazami zmięszanych, wydobywamy się przecież na zbawczy piasek, potem na ulicę i pod strumieniami, płynącemi z nieba, otoczone wichrem i ciemnością, wracamy do naszego miłego gniazdka, gdzie Kicia, blada jeszcze od przebytych wzruszeń, naparza herbatę (miejscowej nie dowierzamy), przewraca imbryk, podnosi go z zimną krwią, naparza po raz drugi i, zanim się zabierze do picia, podaje Bumowi bajeczną porcyę kiełbaski w nagrodę zasług.

(Dokończenie nastąpi).

Komisya kolonizacyjna kupiła od Polaka, p. Dziembowskiego, w powiecie wągrowieckim, 2000 mórg obejmującą wieś rycerską Podlesie Górne, oraz na subhaście Gorzykowo, także 2000 mórg. *Deutsche Ztg.* pisze, iż kolonizacya w r. b. robi pocieszające postępy; prawdopodobnie osiedli się znacznie więcej chłopów niemieckich, niż w latach poprzednich. Natomiast udało się nam uratować inny piękny polski majątek ziemski, na który ostrzyła zęby komisya kolonizacyjna. Jest nim wieś rycerska Rzęszkowo w Poznańskiem, dotychczasowa własność p. Sylwestra Paruszewskiego, którą kupił na subhaście p. Moczyński, adwokat z Bydgoszczy, za 130.000 marek.

Hołd Mickiewiczowi a literaci.

W powodzi projektów godnego uczczenia rocznicy urodzin Mickiewicza wyłonił się między innymi projekt założenia kasy wsparć i zapomóg dla emerytów literatury. Myśl ta, podniesiona w *Tygodniku ilustrowanym* znalazła ostrego przeciwnika w kronikarzu warszawskiego *Głosu*, ale przeciwnika konsekwentnego, bo podającego zarazem myśl inną, bardzo szczęśliwą. „Nie podoba się nam — pisze on — ów wiecznie pokutujący w sprawach tego rodzaju podkład filantropijno-żebraczy, sformułowany w pojęciu wsparć i zapomóg dla chorych i kalek zniedołężniałych w służbie bogini literatury. Bezwątpienia ludzie ci zasłużyli na to, aby o nich pamiętało społeczeństwo, któremu najpiękniejsze lata poświęcili. Ale któż pyta, jak oni przepędzili te najpiękniejsze lata? jakie mieli braki moralne i materyalne? jak te braki odbiły się na ich twórczości? O ileż większe usługi oddaliby oni temu społeczeństwu, o ile praca ich byłaby bardziej intenzywna, energiczniejsza, płodniejsza, bardziej wydatna, gdyby w swoim czasie, za tych najpiękniejszych lat swego życia, znaleźli pomoc właściwą, gdyby mieli warunki takie, w których mogliby pracować spokojnie i wytrwale?... Wytworzenie warunków, w których mogliby pracować młodzi pisarze — jest rzeczą nie mniej ważną, jak wynalezienie „wsparć i zapomóg dla emerytów. Młodzi pisarze powinni przedewszystkiem uczyć się; tymczasem zdarza się najczęściej, że osiągnąwszy pewien stopień nauki, piszący, porwany wirem codziennej pracy dziennikarskiej, nie może, nie ma czasu i sposobności uczyć się dalej, wpada więc w zastój. Cóż dziwnego potem, że jego twórczość jest suchotnicza, a energia ducha rychło zamiera? Konieczność zarobkowania jest to demon, który najbardziej wysysa talenty; ten, któryby choć na lat parę z życia literata usunął, zrobiłby dla literatury niesłychaną usługę. Szkoda tylko, że takich ludzi u nas prawie nie ma.

„Nie na to ich powiadam — ale nie ze złej woli to pochodzi, tylko wprost z braku poczucia takiej potrzeby. Ludzie, oddający się nauce, mają akademię, stypendya przy uniwersytecie Jagiellońskim, kasę Mianowskiego; ale literatura nie ma absolutnie żadnej tego rodzaju pomocy stałej, prócz chyba t. zw. konkursów, które są rodzajem loteryi...

„Czesi mają wspaniałą instytucyę, która niezmiernie ożywczo działa na twórczość pisarzy. Jest to fundusz na podróże dla literatów. Wpływ podróży na twórczość jest niezaprzeczony. Czyż tedy nie byłoby warto założyć u nas podobnej instytucyi. Choćby ona 7 na 10 razy się pomyliła, to jeszcze w 3 razach byłaby użyteczną“.

Projekt ten wziął na uwagę krakowski *Przegląd literacki*, a godząc się nań, dodaje od siebie:

„Nie ma prawie zawodu na świecie, któryby nie otrzymywał pewnej pomocy od ogółu, kraju lub państwa — z wyjątkiem (przynajmniej u nas) zawodu literackiego. W Królestwie można to tłumaczyć nienormalnymi stosunkami, ale przypatrzmy się Galicyi. Są fundusze, choć niewielkie, na popieranie handlu i przemysłu — ten lub ów kupiec czy przemysłowiec otrzymuje z nich pożyczkę lub zapomogę. Młody rzemieślnik dostaje stypendyum na wyjazd za granicę. Ludzie rozpoczynający pracę naukową, są, jak na nasze stosunki, nader dobrze wyposażeni; myśli o nich rząd, myśli o nich wydział krajowy, dba o nich kraj, starają się im przyjść w pomocy instytucye naukowe, jak Akademia, korzystają wreszcie z kilku poważnych zapisów; co roku nawet, przynajmniej kilku młodych uczonych otrzymuje dość spore zasiłki na podróże naukowe. Nie zazdrościmy malarzom, bo wiemy jak im ciężko, ale [illegible] muzeum narodowe. Sejm muzykantom, a zwłaszcza śpiewakom i śpiewaczkom [illegible] stypendyści [illegible] albo całkiem się głosu nie doczekali, albo jeżeli go wyrobili, to śpiewają za granicą. A teatr? Kosztami milionów stawiają miasta te „świątynie“ sztuki, a kraj im udziela hojnie subwencyi. A to liczne subwencye, jakie pobiera [illegible] hodowców koni, pod formą premii wyścigowych, dalej subwencye dla Towarzystw rolniczych, gospodarskich, dla Towarzystwa chowu bydła itp.

„A cóż się czyni w Galicyi dla literatury? Nic — oprócz jakiegoś czasem konkursu dramatycznego, na co, jak uczy doświadczenie, szkoda pieniędzy. Czy dostał który literat „nagrodę“ za poezye, powieść i wogóle za jakie dzieło z zakresu literatury pięknej? Czy dano któremu stypendyum, zasiłek, a choćby pożyczkę, aby mógł swobodniej pracować, a nie zużywał sił swoich na drobiazgi do pism literackich i dzienników? Wprawdzie żadne miasto, ani żadna instytucya nie może kupić powieści lub dramatu, ale jeżeli miliony mogą dawać gminy na budowanie i utrzymywanie teatrów, toć mogłyby chyba znaleźć i jakie fundusze na popieranie literatury. Dlaczego [illegible] Akademii Czeskiej nagrody za utwory beletrystyczne? dlaczego znowu [illegible] podróży i wrażeń artystycznych, — a dlaczego z takich zasiłków u nas korzysta tylko [illegible], mechanik, stolarz, rzeźnik, ogrodnik, rolnik, filolog, przyrodnik lub historyk?“

„Takich uwag i pytań nasuwa się jeszcze cała setka.

„A zresztą czy my w Galicyi przy tych stosunkach możemy mieć literaturę? Zanika ona coraz bardziej — staje się pobocznem zajęciem urzędnika lub profesora. Literatów, którzy się tylko literaturze poświęcają, można policzyć na palcach, a i ci, jeżeli nie chcą z głodu umierać, są literatami warszawskimi z siedzibą w Galicyi. Połowa z nich przykrzy sobie tę siedzibę i ucieka wprost do Warszawy. Nie mamy też pism literackich, nie umiemy się zdobyć ani na jedno pismo illustrowane. A czy takie wydawnictwo nie miałoby prawa zażądać subwencyi? Wszak bez pism literackich poziom intelektualny wznosić się nie może. Galicyę zalewają tylko pisma niemieckie, z któremi warszawskie nie mogą rywalizować, choćby już ze względu na cenę i wielkie koszta przesyłki. Sam stempel i przesyłka tygodnika warszawskiego, to zwyżka o 4 złr. rocznie“.

„Rządzie państwa, sejmie galicyjski, gminy, instytucye, mecenasi, wy matki opiekujące się wszystkiemi gałęziami produkcyi ludzkiej, przestańcie być macochami dla samej tylko literatury“.

Wystawa rolnicza

w Hamburgu.

Jeden z ziemian naszych, zwiedziwszy tę wystawę, opisuje ją jak następuje:

Faktem jest niezaprzeczonym, iż ojczyzną właściwej nauki rolnictwa są Niemcy, mające obecnie poszczycić się świetną organizacyą rolniczych instytutów naukowych i rolniczych stacyj doświadczalnych, które są ogniwem, łączącem teoryę z praktyką. Mają też znakomicie zorganizowane Towarzystwo rolnicze ogólnoniemieckie, liczące obecnie 11.000 członków, w którego skład wchodzą prawie bez wyjątku wszyscy wybitniejsi przedstawiciele nauki i praktyki rolniczej.

Towarzystwo to dzieli się na sekcye, z których każda zajmuje się wyłącznie oddzielnemi działami techniki rolniczej i podejmuje zarówno badania naukowe w zakresie swojej specyalności, jak i pośredniczenie w wymianie produktów odpowiedniego działu. Integralną część działalności Towarzystwa stanowią corocznie urządzane wystawy rolnicze ogólno - niemieckie w rozmaitych głośniejszych punktach Niemiec.

W tym roku urządzono wystawę w Hamburgu, której główną atrakcyę stanowi inwentarz żywy i właściwe produkta rolne.

Wystawione konie, w liczbie 600, podzielone są na dwie główne grupy, gorąco - krwistych szlachetnych koni i zimno-krwistych, roboczych. Pierwsze odznaczają się zarówno świetną budową, jak i pięknością kształtów i ruchów. Są to produkty krzyżowań pełnej krwi koni angielskich z miejscowemi końmi; później celowo i z planem z góry zakreślonym przeprowadzona hodowla umożliwiła powstanie odmian miejscowych, o wyraźnym i stałym typie, którego dalszy rozwój znajduje dzisiaj znakomite zapewnienie w licznych stowarzyszeniach hodowlanych i prowadzonych księgach rodowych. Tak powstał znany olbrzymi karosjer oldenburski, lżejszy, wierzchowy i powozowy typ hanowerskiego konia, remontowy koń pruski i pokrewne pośrednie odmiany koni holsztyńskich.

Z zimno-krwistych ciężkich roboczych koni wystawiono w równej liczbie typ najcięższy nadreńskiego i belgijskiego konia i konkurującego z nim w Niemczech konia nieco lżejszego, pochodzącego od angielskich Chydesdal'ów i Shir'ów. Stosunkowo mało liczebnie reprezentowany lżejszy roboczy koń duński i belgijski Arden.

To co dzisiaj zupełnie wyraźnie umieszczone jest jako jeden z paragrafów statutów hodowlanych, przestrzeganie urody nawet konia roboczego, prawdopodobnie wywierało i dawniej niemały wpływ w hodowli; to też olbrzymi, prawie potworny typ konia belgijskiego zapewne powstał nietylko dzięki wymaganiom wielkiego przemysłu belgijskiego i warunkom klimatycznym kraju, ale i pojęciom tamtejszym o urodzie konia. Jednak dzisiejszy belg przypomina konia na obrazach szkoły flamandzkiej.

Wystawione bydło w ilości 1200 sztuk daje znakomity obraz stanu hodowli bydła nizinnego. Tutaj przeważają rasy bydła mlecznego, pochodzenia holenderskiego, dzisiaj w wielu razach noszącego nazwy od miejscowości, gdzie podlegało ono dalszej hodowli i uszlachetnieniu. Takiem jest bydło wschodnio-fryzyjskie, a bardzo rozpowszechnione w Niemczech, o zupełnie wyraźnym typie i wielkiej mleczności. Niektóre premiowane krowy tej odmiany dają po 7000 litrów rocznie mleka, to jest mniej więcej tyle, ile daje średnio 5 naszych krów z większych obór, a niekiedy i 10 krów włościańskich.

Z typem tym silnie konkuruje odmiana bydła holenderskiego pruskiego, również w dużej liczbie reprezentowanego na wystawie, wreszcie oldenburskie o mniejszej mleczności, lecz większej zdolności roboczej i mniej delikatne; ziemie Szlezwig i Holsztyn wystawiły bydło o odmiennym lecz wyraźnym typie, posiadającym wiele dodatnich cech zarówno mlecznego, jak i mięsnego bydła.

Bydło górskie wystawiono w znacznej mniejszości. Przeważna ilość to czerwone bydło z Harzu, z charakterystycznie zadartemi w tył rogami, odznaczające się dużą wytrzymałością, zwłaszcza podczas długich podróży; dalej znane u nas simentalery, łączące w sobie wiele dodatnich stron bydła mlecznego, roboczego i mięsnego.

W ogóle całość wystawionego bydła daje obraz dużego postępu jaki uczyniła hodowla niemiecka w kierunku ustalenia odmian, właściwych każdemu większemu okręgowi. Odmiany te są z jednej strony wypadkową warunków klimatycznych, z drugiej zaś noszą wyraźne cechy, jakie odpowiadają wymaganiom hodowców z punktu widzenia przeznaczenia i zastosowania danego bydła.

To samo wrażenie wykończonych i wyraźnych odmian robią wystawione owce, choć tutaj zasługa niemiecka polega jedynie na wyprodukowaniu danych okazów, odmiany zaś były wyhodowane w Hiszpanii i Anglii.

Już oddawna znane są cienko-wełniste merynosy pochodzenia hiszpańskiego, którym hodowla austryacka, francuska i saska nadała pewne odcienie; okazy wszystkich tych odcieni były wystawione w Hamburgu obok odmian mięsnych owiec pochodzenia angielskiego, lecz wyprodukowanego w Niemczech.

Trzoda chlewna przeważnie angielska. — Ogółem wystawiono przeszło 500 sztuk, świadczących o dużym rozwoju tej gałęzi produkcyi, która jednak nie jest w stanie pokryć potrzeb miejscowych. Pomimo to agraryusze niemieccy, chcą o ile możności powstrzymać dowóz zagraniczny, starają się dowieść swemu rządowi, że w Austryi prawie nie ma zdrowej trzody. W rzeczywistości jednak wystawione w Hamburgu okazy na ogół niewiele różnią się od trzody, przechodzącej do Niemiec przez Mysłowice, jeden z niewielu punktów granicznych, przez który przepuszczana jest trzoda z Austryi, dzięki organizacyi sanitarnej.

Racyonalna hodowla kóz istnieje tylko w księstwie hesskiem; stąd też były przysłane okazy.

Drób w ilości 900 sztuk, dopełnia całości wystawionego żywego inwentarza.

Przechodząc do działu wystawionych w Hamburgu produktów rolnych i środków pomocniczych, widzimy, iż całe grupy wystawione albo powstały dzięki najnowszym badaniom nauki, albo też nauka nadała im odmienny wyraz.

Na pierwszym wstępie cały szereg wystawionych wzorowych nasion, obok wspaniałych pęków olbrzymich okazów żyta, pszenicy, owsa ze słynnych gospodarstw niemieckich: Lentewic, Hadmersleben, Petkus i wielu innych; zawdzięczają one swój rozwój i zyskane powszechne uznanie nietylko praktycznemu i bystremu oku oddzielnych hodowców, którzy potrafili wyszukać najlepsze egzemplarze zboża i utrwalić ich cechy, ale i rozumnemu uwzględnieniu praw fizyologicznych rozwoju rośliny, praw dziedziczności i zastosowania metody naukowej.

Dalej okazy nasion buraków cukrowych z wystawionem odpowiedniem laboratoryum chemicznem. Obok stacya doświadczalna z Hamburga wystawiła cały szereg kultur wegetacyjnych, prowadzonych w naczyniach cynkowych. Dalej ciągną się halle z nabiałem, którego wyrób w Niemczech zatracił prawie powszechnie pierwotne cechy domowe i stał się zupełnie odrębną gałęzią przemysłu rolnego. Zarówno długie i kłopotliwe osiadanie mleka w naczyniach, jak robienie masła, zostało, od czasu wynalezienia przez Lefeldta centryfugi, zastąpione w zupełności przez maszyny z zastosowaniem motorów poruszanych parą, z przeróbką po 2000 litrów mleka na godzinę.

Obok kolekcyj okazów masła i sera, wyrabianego zarówno z mleka odtłuszczonego, jak i nieodtłuszczonego, stoją na pozór skromne lecz bardzo pożyteczne wystawy mleka dla dzieci, wyrabianego z mleka krowiego. W tem samem miejscu, równie w skromnych butelkach, ustawiony został biały proszek, który przyciąga wzrok dzięki napisowi: „czyste kultury bakteryj do wyrobu masła.“ Prawdopodobnie niejeden przechodzień przypuszcza, że to mistyfikacya, a jednak w rzeczywistości metoda sztucznego wprowadzenia do śmietany tych właśnie bakteryj, które w normalnych warunkach zawsze rozwinąć się w niej muszą, jeżeli ma powstać normalne smaczne masło, znalazła praktyczne zastosowanie w Danii i stąd w najnowszych czasach rozszerza się w Niemczech.

O parę kroków dalej jakiś doktor chemii objaśnia zgromadzonej publiczności działanie innych bakteryj, które sprzedaje on we flaszkach na pożywkach bulionowych. Zawartość jednej takiej flaszki, rozpuszczona w wodzie, zmieszana z ziemią, służy do obsypania dużych przestrzeni pola, mającego być zasianem motylkowemi roślinami. Posypanie to ma zapewnić urodzaj.

Sprzedaż tych butelek z tak zwaną „nitraginą“ jest może zbyt wczesnem stosowaniem wielkiego odkrycia naukowego, zrobionego w r. 1885, iż rośliny motylkowe są w stanie karmić się azotem powietrza, dzięki współżyciu z pewnemi bakteryami, które znajdują się w ziemi. Współżycie to zapewnia roślinie rozwój normalny. Pomimo jednak już przeprowadzonych doświadczeń, nie rozstrzygnięto jeszcze ostatecznie, czy, w jakich warunkach i z jakiem powodzeniem można sztucznie wprowadzać do ziemi te bakterye.

W halli nawozów sztucznych są wystawy rozmaitych materyałów surowych i ich przeróbki, służące jako nawozy pomocnicze. Tutaj ilościowo pierwsze miejsce zajmują słynne kopalnie soli mineralnych w Stassfurcie, dalej związek fabrykantów w Hamburgu; nawozy fabrykantów, należących do politycznego stowarzyszenia niemieckich agraryuszów, zwanego związkiem rolnictwa. Tuż obok reprezentacya owego związku umieściła swoją hallę agitacyjną, gdzie obdarza całym stosem ksiąg, broszur pism, rozpraw ekonomiczno-politycznych ciekawego przechodnia.

W halli produktów niemieckich z Kamerunu znajduje się wiele okazów produkcyi i przemysłu tamtejszego, a zarazem spotyka się tam wystawione egzemplarze dość bogatej literatury rolniczej, poświęconej specyalnie uprawie roślin tamtejszych.

Cechą wybitną wystawionych maszyn i narzędzi (w liczbie 3.800) jest dążność o ile możności do zastąpienia pracy rąk ludzkich lub żywej siły pociągowej motorem, poruszanym parą, niekiedy elektrycznością. Przedewszystkiem rzucają się w oczy ogromne pługi parowe. Pług taki w większości wypadków składa się z 14-tu zwykłych pługów, z których połowa znajduje się w robocie. Pługi te poruszane są dwiema lokomobilami o sile od 10 do 30 koni każda. Takie wielkie uruchomienie materyałów może się opłacać tylko w wyjątkowych razach bardzo głębokiej uprawy i drogiego robotnika. O wiele więcej przemawia do przekonania nowowystawiony, lecz jeszcze niewypróbowany pług elektryczny. Tutaj jedna lokomobila wprawia w ruch dynamo-maszynę, od której siła po drutach przenoszona jest w pole...

Że w Niemczech istnieją warunki dla pracy tego rodzaju pługów, dowodzą cyfry i ilość 255 funkcyonujących pługów parowych.

Zwykła żniwiarka liczebnie na wystawie została wyparta przez swoją rywalkę żniwiarowiązałkę, coraz bardziej rozpowszechnianą w Niemczech.

Całe szeregi wystawionych lokomobil, z których niektóre olbrzymie, o sile 70 koni, dowodzą, jak dalece w Niemczech siła koni zastąpiona została przez parę. Nietylko tutaj, lecz i w ruchu polowym i leśnym wystawiono narzędzia zastępujące konia przez parę i elektryczność. Szyny wązkotorowe i odpowiednie wagony do zwożenia materyału leśnego, torfu, buraków cukrowych, ustawione w kilku miejscach wystawy, dawały dokładny obraz organizacyi kolei polnych. Koppel z Berlina zajął pokaźną część placu wystawy, okazując ruch wagonów polnych, poruszanych elektrycznością.

W tym samym dziale pokazywano licznie gromadzącej się publiczności dojenie krów przy pomocy maszyny, wprowadzanej w ruch lokomobilą.

Niesłychanie interesującym był nowy przyrząd, mający ogromne znaczenie w ogólnej gospodarce i hygienie człowieka; jest nim piec, przeznaczony do przeróbki wszelkiego rodzaju padliny przy pomocy ścieśnionej pary. Odpowiednia maszynerya wprowadza całe zwierzę, (konia lub krowę) do paszczy pieca, skąd przy pomocy rur odprowadzających, otrzymuje się po pięciu godzinach czysty tłuszcz i klej, wreszcie sproszkowaną, suchą substancyę o wysokiej wartości nawozowej.

Echa z wód.

Sławuta w lipcu.

Z pośród naszych swojskich uzdrowisk i zakładów leczniczych Sławuta już od lat 20 jest znaną szerszemu ogółowi, jako sanatoryum dla dotkniętych chorobami płuc, oskrzeli i krtani, a w szczególności dla suchotników. Jest to jedna z najznakomitszych i najskuteczniejszych na Wołyniu stacyj klimatycznych, leśnych.

W olbrzymim kilkowłókowym parku leśnym, stanowiącym terytoryum zakładu, właściwe sanatoryum dla ciężko chorych, to jest takich, których widok może wywrzeć smutne wrażenie, znajduje się w osobnem miejscu. Pozostają oni w swoich pokojach, lub w czasie dni słonecznych umieszczają się w hamakach, w pewnem oddaleniu od alei i ścieżek spacerowych. Dla bezpieczeństwa są też stosowane ściśle środki antyseptyczne i dezynfekcyjne, a wzorowy porządek i czystość w utrzymaniu parku wykluczają obawę zarażenia się gruźlicą, jak to mylnie głoszą niektóre opowieści.

Sławuta jest, jak wiadomo, stacyą klimatyczno-leśną. Podług orzeczenia hygienistów, tylko taka miejscowość zasługuje na zupełną nazwę stacyi klimatycznej leśnej, która obejmuje znaczne przestrzenie lasów, zwłaszcza iglastych (sosna, świerk, modrzew), bo ani 5, ani 10, ani nawet 100 włók lasu jeszcze nie daje warunków wielkich zmian powietrza, tak samo, jak przy największem jeziorze nie będzie powietrza morskiego.

Owóż Sławuta jest okolona wieńcem lasów na przestrzeni 30-tu geograficznych mil kwadratowych. Tylko lasy Turyngyi a po części i Bawaryi południowej mogą z tutejszym zakątkiem iść o lepsze Dodajmy do tego, mnóstwo łąk i polanek, zapełnionych aromatycznem kwieciem, Horyń, przepływający wśród tych lasów, grunt suchy i przepuszczalny, (gdyż w kwadrans po ulewie nie ma tu błota), obfitość źródeł z zimną, przeczystą, kryniczną wodą — a otrzymamy w sumie wszystkie warunki pierwszorzędnej stacyi klimatycznej leśnej, jaką tylko we wspomnianej już Turyngyi lub Bawaryi można znaleźć.

A obok tych warunków tak dodatnich taniość, zaprawdę, niesłychana. Dość powiedzieć, że pobyt sześciotygodniowy w zakładzie dra Przesmyckiego (mieszkanie wygodne, stół smaczny i zdrowy) kosztuje nie więcej jak 100 rubli, czyli stanowczo połowę tego, ileby wydano, bardzo oszczędzając, w jakimś badzie zagranicznym.

Utrzymanie rodzin w domkach, gustownie i wygodnie urządzonych, poza zakładem, jeszcze taniej wypadnie, jeżeli się zważy, że tu, w Sławucie, funt dobrego mięsa kosztuje 7 kop., jajko ½ kop., mleka kwarta 4 kop., kurczę 8 kop., poziomek duży dzban 10 kop. i t. p. Opieki lekarskiej dostarczają: dr. Przesmycki, dr. Henryk Dobrzycki i dr. Dzierzbicki Hydropatya w połączeniu z kąpielami elektrycznemi prowadzona jest wzorowo, ściśle podług systemu Winternitza, a uwieńczenie procedur wodnych stanowią wyborne kąpiele rzeczne w Horyniu.

Ci jednak, którzy, opuszczając miasto dla wypoczynku, pragną jeszcze zabawy w znaczeniu tańców, koncertów, gwarnych zebrań towarzyskich, niech lepiej o Sławucie nie myślą, bo tutaj nic podobnego nie znajdą. Towarzystwo odpowiednie dla zbiorowych spacerów i wycieczek zawsze się znajdzie, niezła orkiestra przygrywa po kilka godzin w parku zakładowym, jest biblioteka (około 2.000 tomów książek polskich), złożona z utworów lżejszych; wint lub preferans łatwo się złożą, a dla młodszych krokiet i kręgle, — oto cała suma rozrywek, po za któremi: spokój, cisza i obcowanie na łonie uroczej natury, przejażdżki łodziami po Horyniu lub spacery do lasów, gdzie się oddycha wonnem, niepokalanie czystem powietrzem.

Warto również zwiedzić różne fabryki sławuckie, będące własnością ks. Sanguszki, magnata, którego dobra, a szczególniej lasy ciągną się na przestrzeni 89 wiorst; warto zrobić wycieczkę do jeziora, „Świętem“ zwanego, gdzie według legendy przed kilku wiekami zatonęła wioska z cerkiewką; dalej pojechać do Ostroga i do Zasławia, starożytnej ongi siedziby książąt Zasławskich. Słowem jest tu sporo do zwiedzenia i obejrzenia na tym historycznym szmacie Wołynia, zasługującego na poznanie bardziej, aniżeli zamki nadreńskie lub kawiarnie Szwajcaryi pudełkowej, inaczej saską zwanej.

Wreszcie dla wiadomości osób, które się słusznie troszczą o zaspokojenie potrzeb religijnych w niedziele i święta, nadmieniamy, że w Sławucie, w odległości 2 wiorst od zakładu, jest bardzo piękny kościół parafialny fundacyi książąt Sanguszków, władnących temi dobrami od XIV wieku naszej ery.

W podziemiach kościoła tego są groby kolatorów a wewnątrz świątyni znajduje się tablica, wmurowana na pamiątkę poprzedniego właściciela, ks. Romana Sanguszki, znakomitego obywatela kraju i założyciela słynnej stadniny. Przy nazwisku ś. p. księcia Romana znajduje się i jego osobisty przydomek: „Z przekonania“.

Była to stała odpowiedź nieboszczyka, jeżeli go kto zagadnął, dlaczego tak a nie inaczej postąpił. Zawsze w najważniejszych momentach swego żywota zwykł odpowiadać: „uczyniłem to z przekonania...“

* * *

Marienbad 26 lipca.

Zbawienne wody marienbadzkie zwabiły w tym roku mnóstwo kuracyuszy. Ostatnia lista gości wykazuje ich przeszło 15.000. Na cyfrę tę złożyły się niemal wszystkie narody. Obok opasłych Turków, Chińczyków, Persów, spotkasz tu flegmatycznych Anglików, tęskniących za piwem Niemców, a dość często obija się o uszy nasze dźwięk mowy polskiej. W tym roku przebywa tu kilkadziesiąt rodzin polskich. Pobyt w Marienbadzie jest nader przyjemny. Zarząd zdrojowy stara się o to, ażeby goście się nie nudzili. Dobry teatr, koncerta, reuniony, wycieczki, skracają nam tutaj czas znakomicie.

W tutejszym kościele katolickim umieszczono obraz olejny Matki Boskiej Częstochowskiej Jest to ofiara jednej z pacyentek-polek, która znalazła u wód marienbadzkich pomoc w cierpieniach.

Wieści o Andréem.

Z Amsterdamu nadeszła wiadomość, że kapitan Lehman, komendant holenderskiego statku „Dotrecht“, płynąc z Archangielska przez morze Białe, dostrzegł olbrzymi jakiś przedmiot popychany wiatrem po morzu. Przedmiot ów nie mógł być statkiem, bo wyglądał na to zbyt elastycznie. Wielorybem zdechłym ów przedmiot także być nie mógł, gdyż nie czuć było od niego odoru zgnilizny. Około przedmiotu tego latały ptaki.

Spostrzeżenie to uczynił kapitan Lehman dnia 17 b. m. pod 69.30° północnej szerokości a 35.34° wschodniej długości. Po powrocie dowiedział się Lehman o wyprawie Andrćego, i wówczas rozjaśniła mu się zagadka. Oto przedmiot ów, którego istoty i przeznaczenia z powodu mgły i oddalenia nie mógł rozróżnić, był właśnie podobnym do opadłego na fale morskie balonu, który mając w sobie jeszcze resztki gazu, utrzymywał się na powierzchni wody. Zdaniem więc Lehmana były to szczątki już tylko śmiałych podróżników. Że ich tam żyjących nie było, to potwierdzają ptaki, które krążyły bez obawy około owego przedmiotu.

Alarmująca ta wiadomość zatrzęsła całym światem i w ślad za nią poszły opinie znawców co do prawdopodobieństwa tego przypuszczenia. Najważniejszym jest głos norwegskiego rywala Andrégo, — Nansena. Otóż według niego, przedmiot ów nie mógł być balonem Andrée'go, gdyż nieprawdopodobnem jest i wprost niemożliwem, ażeby balon, który poleciał w kierunku północno-zachodnim, mógł się już w 6 dni po odlocie dostać na południe, aż tak daleko, bo na miejsce odległe o 150 mil od miejsca wzlotu Gdyby Andrée opadł był gdzie na północy, to i samego balonu fale nie byłyby w stanie unieść tak daleko.

Nordenskiöld, który miał towarzyszyć Andréemu w podróży, twierdzi, że przedsięwzięcie Andréego udało się niezawodnie, i że jest na biegunie lub gdzieś po drugiej jego stronie, w Azyi albo Ameryce. Do przypuszczenia Lehmana nie przywiązuje on żadnej wagi.

Podobnie zapatruje się i podporucznik berlińskiego oddziału aeronautycznego Siegfeld. Według zapisków niemieckiej strażnicy morskiej, przez cały czas od 11 — 17 bm. z wyjątkiem dnia 14 bm. wiał ciągle wiatr z południa, lub południowego wschodu. Balon gotowy do podróży trzydziestodniowej nie mógł być tak wyczerpanym zaraz w pierwszym dniu, żeby opadłszy nad samą ziemię dał się porwać dolnym-prądom powietrza. Zresztą Andrée nie mógł naumyślnie opuścić się na ziemię, w tak krótkim czasie po odlocie nie osiągnąwszy niczego. Balon jego nie miał urządzenia za pomocą którego można przez rozcięcie bocznej ściany balonu gaz zupełnie wypuścić. Zwiększa to niebezpieczeństwo, gdyż naraża balon na wleczenie się z wiatrem po ziemi, odbywające się w gwałtownych podskokach. Opadając, należy w takim razie albo porzucić łódkę — a tego Andrée bez narażenia się na śmierć głodową uczynić nie mógł — albo odcina się łódkę, a balon zdaje na łaskę Opatrzności. To zaś mógł Andrée uczynić tylko po drugiej stronie bieguna przy jakich takich szansach dojścia do osad ludzkich.

Doniesienia o złowionych gołębiach podniosły były nadzieję; ta wiadomość przygniotła ją do ziemi. Jak jedno i drugie mogło być uzasadnionem, tak też jedno i drugie polegać może na pomyłce i nierealności domysłów. Na wiadomość poważną trzeba zdaje się będzie czekać miesiące.

Z izby sądowej.

Brzeżany 28 lipca

(Antysemici chodorowscy.)

Z zeznań oskarżonych zanotować jeszcze należy, że oskarżony o pobicie Stanisława Winiarskiego Samuel Arbeit usprawiedliwiał się tem, iż działał w koniecznej obronie swego ojca, którego Winiarski bił i obalił na ziemię. Do obrony Arbeita zgłosił się dr. Sokal, zastępujący — jak wczoraj doniosłem — także poszkodowanych żydów.

Z protokołu oględzin lekarskich wynika, że zmarły Mojżesz Stein, któremu robotnicy w bójce złamali rękę, nie umarł z bezpośrednich skutków tego uszkodzenia. Przyczyną zgonu było zapalenie płuc, na które Steiner jeszcze przed zaburzeniami chodorowskiemi się leczył, ale pobicie go utrudniło dalszą kuracyę.

Przesłuchani jako świadkowie dwaj żandarmi zeznają zgodnie, że robotnicy w dniu 5 kwietnia tak w południe, jak i po południu byli mocno podpici, względem władzy jednak zachowywali się z taktem, oporu nie stawiali. Prosili komisarza starostwa, p. Ossolińskiego, o uwolnienie z aresztu trzech ich kolegów, uwięzionych dnia poprzedniego. P. Ossoliński prośbę ich wysłuchał. Pomiędzy oskarżonymi żandarmi nie poznają żadnego z winowajców.

Charakterystycznem jest, że trybunał uwzględniając podanie p. Ossolińskiego o uwolnienie go od stawania przed sądem w charakterze świadka z powodu, iż chory jest na oczy, — nie odczytał zeznań podanych przez p. Ossolińskiego w śledztwie.

* * *

Filipopol 27 lipca.

(Mordercy Anny Simon).

Po ukończeniu przesłuchań nastąpił wywód prokuratora o winie Nowelicza i Bogdana Wasiliewa. U tego drugiego łagodzącą okolicznością jest stosunek jego służbowy do Nowelicza. Mowa prokuratora sucha i bezbarwna, nie wywarła wrażenia. Zastępca prokuratora uzasadniał winę Bojczewa. Po południu odbywały się wywody obrońców.

W mieście coraz nowe rzeczy wywołują wrażenie. I tak senzacyę wywołało opowiadanie wysokiego oficera rosyjskiego, który dawniej służył w armii austryackiej. Oficer ten podał zajmujące szczegóły z życia Nowelicza. I tak, jego zdaniem, nie jest Nowelicz z rodu Włochem, lecz potomkiem austryackiej rodziny szlacheckiej, cieszącej się wielkiem poważaniem.

Nazywa się on właściwie Liebich i jest synem zmarłego już podpułkownika Liebicha, byłego komendanta w Udine. Matka jego była z domu Nowelicz. Nowelicz brał udział w wojnie w roku 1866 jako porucznik 46 pułku. Później narobiwszy wiele długów, dezerterował z armii i udał się do Bułgaryi, gdzie za protekcyą owego oficera rosyjskiego otrzymał miejsce kuryera książęcego.

Ks. Ferdynand polubił go bardzo i cenił zwłaszcza jego wiadomości językowe, gdyż Nowelicz włada językami: niemieckim, francuskim,

angielskim, włoskim, rosyjskim, greckim, serbskim, bułgarskim i tureckim. Uwzględniając jego zasługi mianował go książę później prefektem policyi.

Nowelicz ma w Wiedniu dwie siostry, z których jedna wyszła za mąż za wysokiego oficera austryackiego. Kilka razy odwiedził on je, pewny, że pod przybranem nazwiskiem Nowelicza nikt nie pozna dezertera. W każdym razie dziwnem się wydaje, że jeneralny konsulat austryacki w Sofii nie znał pochodzenia Nowelicza.

Nie mniej też wrzawy wywołuje sposób prowadzenia procesu, a oburzenie ta okoliczność, że sąd rozmyślnie odczytał różnych listów Bojczewa, pisane z więzienia. W jednym z nich prosi morderca młodą księżnę, by go wybawiła z więzienia i kończy list słowami *Twój Deczko.*

Niektórzy w krytyce idą tak daleko, że z procesu całego czynią kwestyę polityczną. I tak przypuszczają, że książę bawiący obecnie w dobrach brata swego na Węgrzech, nie powróci już do Bułgaryi. To chyba jeszcze przedwczesne, ale to prawda, że cała sprawa rzuca gruby cień na stosunki na dworze Bułgarskim.

Filipopol 28 lipca.

Po wywodach obrońców, udał się trybunał na naradę, zapowiedziawszy na jutro o godz. 9-tej rano ogłoszenie wyroku.

Filipopol 29 lipca.

Pomimo zapowiedzi, że wyrok zostanie ogłoszonym dopiero dziś przed południem, zebrał się trybunał po północy i ogłosił werdykt następujący: Rotmistrz Deczko Bojczow uznany jednogłośnie winnym zamierzonej i obmyślanej zbrodni, jednakże z okoliczności łagodzącemi. Tak samo Nowelicz. Bogdana Wasiliewa uznano winnym zbrodni, bez poprzedniego zamiaru i wśród okoliczności bardzo łagodzących. Mikołaja Bojczewa uniewinniono.

KRONIKA.

Lwów 29 lipca.

Przeniesienia. Lustrator dóbr skarbowych Władysław Kornicki przeniesiony z Kałusza do Lwowa, a zarządca lasów i dóbr skarbowych Mikołaj Gromnicki ze Lwowa do Osławia.

Starosta Bronisław Wajdowicz przeniesiony z Rohatyna do Jasła.

Pomnik Mickiewicza w Warszawie. Artysta rzeźbiarz p. Cypryan Godebski przedłożył 24 b. m. komitetowi fotografie modelu pomnika. Komitet uznał projekt za zupełnie dobry. Gdy władze projekt zatwierdzą, p. Godebski przystąpi do budowy pomnika. Będzie on 14 stóp wysoki; na podstawie granitowej ma stać figura z bronzu, wyobrażająca poetę w pozie stojącej, a na frontonie podstawy napis: „Adamowi Mickiewiczowi — Rodacy". Delegacya, która będzie tymi dniami u ks. Imeretyńskiego w sprawie zatwierdzenia projektu pomnika, przedłoży prośbę, by pomnik mógł być umieszczony na skwerze na Krakowskiem Przedmieściu, frontem do ulicy Trębackiej.

Sensacyjny anonim otrzymała dyrekcya lwowskiej policyi. Anonim ten powiada, że niejaki X, zamieszkały we Lwowie, przy ul. Y., zamordował młodą dziewczynę i że jej zwłoki zakopał wśród nocy w parku stryjskim. Pomimo, iż stylizacya anonimu nasuwa podejrzenie, że ma się tu do czynienia z złośliwym żartem, zarządziła dyrekcya policyi w tej sprawie energiczne śledztwo.

Konkurs na posadę sekretarza rozpisuje Magistrat w Brodach. Płaca 1000 zł., 5 dodatków pięcioletnich po 100 zł. i prawo do emerytury. Termin do 31 sierpnia.

Na Styrze pomiędzy Leszniowem a Szczurowicami wybudował Wydział brodzki Rady powiatowej wielki most kosztem 8000 zł. Inicyatywę do tego dał poseł i marszałek powiatu p. Oktaw Sala, wyrządzając tem nieoceniony przysługę okolicznej ludności. Budowę mostu pod kierunkiem inżyniera powiatowego p. Franciszka Jaworskiego prowadził przedsiębiorca p. Zygmunt Szasnecki z Brodów. Aby upamiętnić i uświetnić tę wielce ważną dla okolicy chwilę oddania mostu do użytku publicznego, urządzono dnia 24 b. m. uroczyste poświęcenie. W procesyi udało się duchowieństwo, obywatelstwo i lud na miejsce, gdzie ks. kan. Łotocki dokonał aktu poświęcenia. Po solennem nabożeństwie odbyło się śniadanie, urządzone przez Wydział Rady powiatowej dla zaproszonych gości, a zgromadzonych włościan podejmowano skromną ucztą.

Pożegnanie. Z Przemyślan nam piszą: Przed rokiem przybyły do naszej szkoły dwie nauczycielki panny Julia i Aniela Matkowskie, które w krótkim czasie zdobyły sobie uznanie władz i miłość dziatwy. Były one także duszą życia towarzyskiego naszego miasteczka. Ilekroć szło o urządzenie przedstawienia amatorskiego, lub koncertu na jakiś cel dobroczynny, nigdy nie odmawiały czynnego udziału, a przyczyniły się deklamacyą, wyborną grą na fortepianie i doskonałą grą sceniczną. To też z wielkim żalem dowiedzieliśmy się, iż panny Matkowskie opuszczają Przemyślany, bo chcą się zbliżyć do swojej rodziny. Grono miejscowej inteligencyi urządziło w dniu 24 t. m. w sali Kasyna mieszczańskiego wieczór pożegnalny na ich cześć, a dnia następnego deputacya złożona z członków Kółka literackiego i towarzystwa teatru amatorskiego wręczyła im dwie teki artystycznie wykonane przez p. Juliusza Pola, zaopatrzone dedykacyami i kilkudziesięciu podpisami.

Śmierć przy ołtarzu. W Lemberku, w Prusach zachodnich, zmarł nagle ks. dziekan Guziński, podczas celebrowania Mszy świętej. Liczył on lat 71, a od 34 lat był proboszczem w Lembarku, kochany i szanowany przez parafian i szerokie koła obywatelskie.

Książę Henryk Orleański podobno zgodził się na pojedynek z pełnomocnikami sponiewieranych przezeń włoskich oficerów, i — jak donosi *Gaulois* — wybrał na swych świadków hrabiego Dion i księcia Lucinge Faucigny.

W Sedanie miało się odbyć dnia 8 sierpnia w obecności francuskiego ministra handlu Bouchera uroczyste odsłonięcie pomnika dla poległych tam w r. 1871 żołnierzy. Tymczasem rząd postanowił uchylić się od wszelkiego oficyalnego udziału w uroczystości, co wywołało rozgoryczenie w niektórych dziennikach francuskich i zarzut, że rząd „wysługuje się Niemcom".

W sprawie mieszkań dla robotników odbywa się teraz międzynarodowy kongres w Brukseli. Biorą w nim udział reprezentanci rządów: belgijskiego, austryackiego, francuskiego, angielskiego i niemieckiego, chociaż z inicyatywy państwa w sprawie. Prezesem kongresu jest Bernaert, były belgijski prezydent ministrów, wiceprezesem delegat austryacki w. Schwartzenau, radca ministeryum spraw wewnętrznych. Po zagajeniu obrad przez przewodniczącego, p. Schwartzenau wygłosił referat o budowaniu domów dla robotników. Sprawa ta należy w pierwszym rzędzie do inicyatywy prywatnej przedsiębiorców, gdyż rząd musi się przedewszystkiem starać o uregulowanie ruchu robotniczego według sprawiedliwych zasad ekonomicznych. Zanim jednak można będzie w związku z tem traktować i sprawę urządzania pomieszkań dla robotników, należy już teraz zaradzić naglącej potrzebie i przez mądre ustawodawstwo poprzeć prywatną inicyatywę. Ustawodawstwo to musi mieć trojaki cel na oku: aby pomieszkania dla robotników były zdrowe, tanie i w wystarczającej liczbie. Nad dopilnowaniem pierwszego warunku powinny czuwać osobno w tym celu wysadzone inspektoraty mieszkań; taniość zaś mieszkań osiągnie się przez całkowite lub częściowe opuszczenie odpowiednich podatków. W tym kierunku istnieją już w Austryi niektóre ustawy, których uzupełnienie i rozszerzenie ma teraz rząd austryacki głównie na oku. Co się tyczy liczby pomieszkań, to musi się zawsze uwzględnić indywidualne warunki ekonomiczne krajów. Z tem zastrzeżeniem byłoby jednak pożądane i dopuszczalne, ażeby majątki, zawiadywane wprost albo pośrednio przez państwo, jak np. pocztowe kasy oszczędności, fundacye, majątki kas chorych i zakładów dla ubezpieczeń od wypadków, lokowały swe sumy hipoteczne na tych domach. Mówca wskazał przy tej sposobności na dodatnie rezultaty, które tryesteński zakład dla ubezpieczeń uzyskał przez budowanie swoim kosztem domów dla robotników. Po tym referacie przedłożył delegat węgierski dr. Schulpe projekt w sprawie ustawy powyższej, z którym ma rząd węgierski wystąpić przed parlamentem.

Straszny wypadek zdarzył się w tych dniach w Londynie. Pani Fanny Samuelson, synowa jednego z najbogatszych właścicieli ziemskich w Yorkshire, udała się do modnego w arystokratycznej dzielnicy Westendu fryzyera, celem umycia i oczyszczenia głowy używaną powszechnie przez fryzyerów wielkiego świata wodą naftową. Przy zastosowaniu tej wody, która okazała się w użyciu bardzo skuteczna i praktyczna, albowiem włosy wysychają w przeciągu kwadransa, należy wszakże zachować pewne środki ostrożności. Nie wolno, aby w tym samym pokoju paliło się światło lub ogień, gdyż może z łatwością spowodować wybuch: to samo stać się może, gdy ogień jest tylko co zgaszony. Tymczasem w sklepie fryzyera, u którego była pani Samuelson, tylko co zgaszono ogień w piecykach, gdzie grzały się żelazka do fryzowania. W chwili zatem, gdy fryzyer, skończywszy myć włosy klientki, wykręcał je, chcąc prędzej wysuszyć rękoma, nastąpił głuchy huk, buchnął płomień i pani Samuelson wraz z fryzyerem, stanęli w ogniu. Fryzyer, nie bacząc na własne płonące ręce, zaczął rzucać wszystkie peniuary i kołdry, jakie były w pokoju, na klientkę, która zerwała się, krzyknęła przeraźliwie i padła zemdlona. Subjekci sklepowi pospieszyli na pomoc i zdołano nareszcie ogień ugasić, ale suknia i włosy pani Samuelson były zupełnie zwęglone, a ona sama straszliwie poparzona. Po kilku dniach nieszczęśliwa młoda kobieta zmarła, urodziwszy poprzednio nieżywe dziecko. Nie pierwsza to katastrofa tego rodzaju. W roku zeszłym zdarzył się podobny wypadek w Monte-Carlo U jednego z miejscowych fryzyerów, podczas takiej samej operacyi z wodą naftową, nastąpił wybuch, którego ofiarą stała się pani Fitzwilliams; poniosła ona bardzo ciężkie poparzenia, włosy jej spaliły się ze szczętem, a pierścionki musiano spiłowywać z poparzonych palców. Lekarze jednak zdołali utrzymać panią Fitzwilliams przy życiu, a rany tak się zagoiły, że nie pozostawiły żadnych śladów, nawet włosy odrosły.

Samochodem do Paryża. P. Naimski telegrafuje:

Paryż 26 lipca. Dziś stanęliśmy tu szczęśliwie o godzinie 7. wieczorem. Ostatnie 186 kilometrów z Dieppe przebyliśmy w ciągu 10 ¼ godzin.

Straty poczty wskutek katastrofy pod Kołomyją zdawały się w pierwszej chwili bardzo wielkiemi. Mówiono o setkach tysięcy. Obecnie — po odszukaniu prawie wszystkich posyłek, znajdujących się w zatopionym pociągu, i po ukończeniu rachunków kontrolnych przez sekretarza poczty p. Szeligowskiego — straty te okazały się bardzo małemi. Na wynagrodzenie poszkodowanych nadawców zapotrzebowała lwowska dyrekcya poczt tylko 1400 zł. Asygnatę odnośną nadesłało już ministerstwo handlu, a dyrekcya poczt rozpoczęła w tych dniach wypłatę odszkodowań okazicielom recepisów zagubionych listów. Straty poczty są tak małemi z tego powodu, że gotówkę znajdującą się w zatopionym wozie ambulansowym znaleziono bez ubytku nieuszkodzoną, i że szczęśliwym trafem zniszczone zostały przez wodę tylko listy rekomendowane.

Górne przewody kolei elektrycznej — takie, jakie mamy we Lwowie — posiadają własności podobne do piorunochronów. Ubiegłego tygodnia szalała straszna burza w mieście Spandau w Niemczech. Piorun uderzył w komin pewnego domu, obok którego przechodzi tor miejskiej kolei elektrycznej. Przebiwszy dach i sufit, przebiegł piorun wzdłuż ściany i dostał się do drutu przewodniego kolei elektrycznej, przymocowanego do muru domu. W tej właśnie chwili przechodził tamtędy wóz kolei elektrycznej, przez który piorun dostał się do ziemi. Więc dom ów zawdzięcza ocalenie swoje wyłącznie przewodowi kolei elektrycznej, który sprowadził piorun do ziemi; gdyby bowiem piorun przechodził był do ziemi przez dom, mógłby w nim znaczne porobić szkody.

Zabawną anegdotę opowiadają sobie w kołach kupieckich, jako fakt, który się miał wydarzyć w tych dniach we Lwowie: „Firmie konfekcyi damskiej Y. była od dłuższego czasu znaczną sumę winna pani X. Wszelkie starania, aby rachunek wciąż rosnący był wreszcie przez panią X. spłacony, nie odnosiły skutku, pomimo że państwo X. są istotnie zamożnymi. Szef firmy, rad nierad, postanowił przedłożyć rachunek mężowi pani X.; ale tu natrafił na inną trudność: pani X. umiała zawsze tak pokierować, że rachunek dla jej męża przeznaczony dostawał się w jej rączki. Zrozpaczony kupiec, nie chcąc sprawy podawać do sądu, a przyparty do muru, wpadł wreszcie na dowcipny pomysł, ktrego zręczne wykonanie miało ostatecznie wymazać nazwisko pani X. z czarnej księgi leniwie płacących dłużników. Pomysł opierał się na trzech faktach, a mianowicie: że państwo X lubieli wieczorami siadywać w restauracyi ogrodu pojezuickiego; że mieli łagodnego, ślicznego mopsa „Pupa", i że mąż pani X. był zazdrosny jak Otello.

Otóż pewnego dnia zauważył mąż-Ottelo, popijając piwo w ogrodzie jezuickim, że na żonę jego zbyt często czule patrzy jakiś młody przystojny mężczyzna, siedzący przy sąsiednim stole restauracyjnym. Spostrzeżenie to zelektryzowało jego czujność. Młody człowiek coraz częściej rzucał gorące spojrzenia na jego żonę, a ta widocznie jego wzrokiem była zaniepokojona, co naturalnie tłumaczy się tem, że pani X. poznała w tym młodym człowieku subjekta ze sklepu Y, który już nieraz przychodził z prośbą o wyrównanie rachunku. Nie dość na tem. Inny jeszcze szczegół, spostrzeżony przez męża z poza pozornie czytanej gazety, powiększył jego podejrzenia. Młody człowiek kazał sobie podać atrament i pióro, wyjął z kieszeni różowy listowy papier i zawracając od czasu do czasu czule oczyma na jego żonę, skrzętnie coś pisał. Mąż zirytowany do najwyższego stopnia ledwie mógł usiedzieć na krześle, a gazeta trzymana przez niego kurczowo w ręce drżała jak liść osiki. Tymczasem młody człowiek skończył pisanie i patrząc wciąż na panią X. przywabił do siebie cukrem jej pieska, uprzejmego „Puppa". Nagle — widział to mąż z poza gazety dokładnie — włożył młody człowiek szybko list za halsztuk mopsa. Tego już było za dużo panu X.; z przeszywającym młodego sąsiada wzrokiem, przywołał psa i z nerwowym pospiechem chwycił za list.

W liście był szczegółowy rachunek firmy Y. z uprzejmą prośbą, aby pan X. corychlej należność wyrównał.

Intryga kupca Y. się udała. Z czarnej księgi leniwie płacących dłużników wykreślono nazwisko pani X. zaraz na drugi dzień.

Jenerał Wink von Oben pojawił się znowu w postaci konia p. Desselbena. Jedno z pism warszawskich tłómaczyło z dzienników wiedeńskich opis wyścigów w Rymanowie. Otóż w dzienniku wiedeńskim było napisane, że do pewnego biegu stanął jeden koń p. Ostoi-Ostaszewskiego, a do innego biegu inny koń tego samego właściciela — po niemiecku „desselben". Tymczasem owo pismo warszawskie sądziło, że wyraz „desselben" jest nazwiskiem właściciela konia i napisało: koń pana Desselbena.

Jubileusz króla Oskara. Król Szwecyi i Norwegii, Oskar, obchodzić będzie dnia 18 września br. srebrny jubileusz panowania. By uczcić tę pamiątkę, wszystkie wydziały uniwersytetu wiedeńskiego, bolońskiego i kilku innych, postanowiły mianować króla Oskara doktorem honorowym. Król Oskar posiada dotąd taki dyplom od wydziału filozoficznego uniwersytetu w Erlangen.

Zwłoki 26 dzieci znaleziono tymi dniami w kościele św. Piotra w Sewilli. Rodzice tych dzieci, nie chcąc ich chować na cmentarzu, prosili zakrystyana, by je umieścił w podziemiach kościoła. Zakrystyana pociągnięto za ten niedozwolony czyn do odpowiedzialności.

Niestosowną spekulacyę na uczucia religijne uprawia drezdeńska fabryka czekolady Hartwiga. Oto nadesłano nam etykietę czekoladki, na której znajduje się obraz Serca Pana Jezusa. Umieszczanie świętych wizerunków na towarach uważamy za niestosowne i obrażające uczucia religijne, rzeczą więc kupców naszych być powinno towaru tego nie zamawiać.

Masło z zapachem różanym. W Anglii, jak donosi *Rolnik i Hodowca*, na stołach wykwintnych pojawiło się obecnie masło perfumowane zapachem różanym i znalazło odrazu amatorów. Mleczarnie, które się wyrobem tego masła trudnią, wonieją wewnątrz jak sklep kwiatowy lub perfumerya. Skoro masło świeże wyjdzie z masielnicy, formują je w małych ozdobnych foremkach, a potem każdy kawałek osobno zawija się w delikatny muślin i układa na warstwie listków różanych, nasypanych na dno glinianego naczynia. Na wierzch sypie się znów warstwa róży, dopełnia do reszty naczynie kawałkami lodu i przykrywa wszystko szczelną pokrywą. Tak pozostaje masło przez 10 godzin, zanim nabierze dostatecznie silnego zapachu, by mogło iść na sprzedaż.

Uczucie strachu. Pewien angielski psycholog wydał niedawno książkę, w której pisze o rozmaitych źródłach uczucia strachu u człowieka. Wypytywał on około 2000 ludzi, czego i w jaki sposób głównie się boją i przekonał się, że u największej liczby ludzi powstaje obawa zwykle przed burzą. Przytem liczba kobiet obawiających się burzy jest daleko większą od liczby mężczyzn. Innych ludzi opanowuje znowu strach przed płazami. Kobiety boją się przeważnie szczurów i myszy, mężczyźni wstrętnych owadów. Prawie dwudziesta część badanych osób bała się ciemności, ósma część przyznawała się do strachu przed burzą, były zaś także takie osoby, które widok księżyca przejmował zawsze ogromnym lękiem.

Wyjątek z naturalistycznej powieści.

— Mój mężu, wczoraj miałeś w portmonetce 5 zł. 30 centów, a dziś masz tylko 1 zł. 30 ct. Gdzież reszta?

— Moja droga żoneczko, kupiłem sobie nowe buty. Szewc je niebawem przyniesie.

— Buty? Co za rozrzutność! Przecież masz buty.

— Dziś jeszcze mam, ale muszę myśleć o jutrze. Zdarzyła mi się okazya, jak rzadko. Ten, kto obstalował, nie wziął ich, szewc więc ustępuje mi je za pół ceny

— A ta połowa ceny?

— Cztery guldeny.

— Cztery guldeny! I to nazywasz okazyą jak rzadko? Zwaryowałeś, czy co?

— Ależ, mój aniołku, czyż to nie dobra okazya, skoro nowe kosztują osiem guldenów?

— Osiem guldenów! Mężu, masz sumienie nosić buty za osiem guldenów? Z czego one zrobione? Ze złota?

— Nie, ze skórki gemzowej poprostu. Pasują mi do nogi, jakby były na miarę robione.

— Bardzo wierzę, buty za taką rujnującą cenę! Mógłbyś też z takiemi sprawunkami trochę poczekać, aż będziesz milionerem!

— Cóż zrobić, moja duszko, kiedy moje stare buty nie chcą czekać, aż będę milionerem. Patrz, jak się rozłażą.

— Tak, tak. I myśl tu o oszczędności! A jak, Boże zachowaj, umrzesz, z czem ja zostanę? Ale co ciebie to obchodzi? Jesteś za wielkim egoistą, abyś myślał o mojej przyszłości.

— Uspokójże się, mój aniołku! Ja nie mam bynajmniej zamiaru umierać.

— Co ty wiesz o tem? Skądże ta pewność? Teraz jesteś zdrów, ale w razie wypadku...

— Ależ..

— O wypadek wcale nietrudno, a wtedy?..:

— No, przypuśćmy, że się zdarzy coś najgorszego. Ale i wtedy pozostaje ci twój posag, który ci zapewni utrzymanie.

— Mój posag? A to dobre! Jeżeli będę przejadała mój posag, z czemże wyjdę powtórnie za mąż?

Stan powietrza. T. o g. 8 rano + 17, w poł. + 18 R., Bar. 758. Spada. Deszcz ulewny.

Wśród literatów.

— No, skończyłeś twoją powieść?

— A jakże.

— A jakiż ostatecznie był koniec, wesoły, czy smutny?

— Smutny, redaktor odesłał mi rękopis.

W sądzie.

Podlotka wezwanego na świadka pyta sędzia:

— Czy świadek był kiedy karany?

— Raz, w pierwszej klasie musiałam stać w kącie.

U agenta.

Aktor. Jestem komikiem.

Agent. Kawaler?

Aktor. Nie, żonaty.

Agent. A więc tragi-komik!

LITERATURA I SZTUKA.

* **Listy króla Stanisława Poniatowskiego.** Pan Władysław Mickiewicz z Paryża donosi, że pewien profesor historyi w Yverdunie ogłosił „listy króla Stanisława Poniatowskiego do jenerała hr. de Monet i do hr. Branickiego". Listy te stwierdzają raz jeszcze, że Stanisław August jako człowiek prywatny posiadał dużo cech sympatycznych. Nie można mu nawet zaprzeczyć dobrych chęci, choć nie posiadał energii do ich urzeczywistnienia. W stanowczych chwilach nie umiał nigdy zdobyć się na silną wolę, bohaterskie przedsięwzięcia odkładał z dnia na dzień, płakał nad sobą, załamywał ręce, chwytał się pióra i żale swoje wynurzał przyjaciołom. Listy jego są długą, nieprzerwaną skargą. Nie miał żadnego hartu, zdawał się na łaskę wypadków i czekał ze smętnym fatalizmem, aż okoliczności same przez się usuną niebezpieczeństwa, które przechodziły miarę jego odwagi. O tyle pisał więcej, o ile mniej działał. Czytamy w jednym liście, że pięć godzin z rzędu nie wypuścił pióra z ręki. Innego razu sekretarz wchodzi do króla o szóstej z rana i zastaje go przy biurku, piszącego już od godziny. Francuszczyzna jego poprawna, nawet elegancka, ale styl niewieści i płaczliwy. Niekiedy zapewniał, iż gdyby wiedział, że osiągnie pożądany skutek, toby chętnie poświęcił życie i koronę; ale w stanowczej chwili sądził, że podobne poświęcenie byłoby nie na dobie. Lubił filozofować i sypać aforyzmy. Pisze na przykład dnia 21 czerwca r. 1791: „Ze wszystkich błędów ludzkich pycha zdaje mi się najmniej zasługiwać na pobłażanie." Mędrzec ten budził podziw dworu swego, rozczulał cudzoziemców, odbierających jego zwierzenia. Należał całe życie do zastępu tych, co mogą o sobie powiedzieć: *Meliora video, pejora sequor.*

* **Echa** muzycznego, teatralnego i artystycznego, Nr. 30 opuścił prasę i został rozesłany abonentom *Przeglądu* bezpośrednio z Warszawy. Numer ten zawiera: Prometeusz (z rysunkiem), przez J. J. B. — Czy to była pierwsza opera polska? Wiktora Czajewskiego I. — Głośniki: — Wśród siedmiu wzgórz w legendzie wieków, przez Waleryę Marrené-Morzkowską. Moja Mignon, szkic powieściowy, przez Marcelego Strzemieńczyka (d. c.) — Moniuszko kompozytor kościelny, przez m. b. — Wilniana, przez Łuc. Uziembło. — Odgłosy. — Do Ninon (wiersz) przez M. Radziszewskiego. — Dlaczego? — Kronika. — Robert Schumann. Uwagi dla muzyków,— Feljeton: Telefon (nowella) przez Karola Foley.

Przypominamy, że prenumeratorzy *Przeglądu* mogą abonować *Echo muzyczne* po cenie znacznie zniżonej, a wynoszącej we Lwowie 62 ct., zaś na prowincyi 72 ct. miesięcznie.

SPORT.

Wyścigi konne w Tatra-Łomnicz odbyły się pomiędzy 14 a 18 lipca b. r. Suma nagród wynosiła 132.350 koron. Znaczniejsze biegi były następujące:

Dnia 14 lipca. Handicap Tatrzański. Nagroda 10.000 koron zwycięzcy, 3000 koron drugiemu, 1000 koron trzeciemu koniowi. Zapisano koni 31, biegało 11. Meta 1600 mtr. P. Golda (pseudonim) ogier gniady 4-letni „King Amphion" po Amphion od Rose May, 60 klg. 1, p. R. Lebaudy'ego klacz gniada 3-letnia „Bottine" 61½ kg. 2, br. Z. Uechtritza ogier kaszt. 6-letni „Pitt", 52 kg., 3. Totalizator 138 : 5.

Dnia 15 lipca. Nagroda Łomnicy. 5000 koron zwycięzcy, 500 koron drugiemu koniowi. Dla koni dwuletnich; meta 1100 mtr. Zapisano koni 12, biegały 2. Hr. D. Wenckheima klacz kaszt. „Nur Neune" po Abonnent od Alma 1, hr. T. Andrassy'ego klacz kasztanowata „Veletlen" 2. Totalizator 11 : 5.

Dnia 17 lipca. Nagroda Spiska. 5000 koron zwycięzcy, 500 koron drugiemu koniowi. Meta 2500 mtr. Zapisano koni 6, biegały 4. Hr. St. Forgacha klacz gniada 4-letnia „Belle Minette" po Beauminet od Fenyes 1, p. Siltona ogier gniady 5-letni „Vedero" 2. Totalizator 19 : 5.

Dnia 18 lipca. Nagroda Karpacka. 50.000 koron zwycięzcy, 5000 koron drugiemu, 3000 koron trzeciemu koniowi. Dla koni dwuletnich i trzyletnich. Meta 1200 mtr. Zapisano koni 106, biegało 8. P. B. Drehera klacz kaszt. 2-letnia „Busserl" po Żsupan od Bussi 1, bar. Z. Uechtritza ogier gniady 3-letni „Rahn" 2, p. Lincohlna klacz kaszt. 2-letnia „Spinster" 3. Totalizator 10 : 5.

* * *

Fortuna znowu uśmiechnęła się hodowcom austro-węgierskim koni czystej krwi. Tym jaśniejszym przebłyskiem było zwycięstwo znanego ogiera „Tokio" w wielkiej nagrodzie berlińskiej dnia 12 lipca b. r. Nagroda wynosiła 100.000 marek; z mianowanych 102 koni stanęło do walki 9. „Tokio" był pierwszym, br. G. Springera „Or-dur" trzecim u mety. Metę 2200 metrów przebył koń wygrywający w 2 min. 27$^{7}/_{10}$ sek. Totalizator 56 : 10.

Właściciel „Tokia" p. Pechy ofiarował 1000 marek na ubogich miasta Berlina. Suma wygranych przez ogiera „Tokia" nagród wynosi dotychczas 372.225 koron i 142.000 marek.

* * *

Ks. Walii ogier 4-letni „Persimmon", zwycięzca zeszłorocznego Derby angielskiego a puharu w Ascot w r. b. wygrał świeżo „Eclipse-Stakes" w Newmarket; jeden z największych dorocznych biegów w Anglii.

* * *

P. Stanisław Bieńkowski z Wulki w powiecie ostrogskim gub. Wołyńskiej nabył od p. Kazimierza Tuczyńskiego ogiera czystej krwi angielkiej „Gonzalo" po Alboin od Geogina po Żestoki od Grünmantel. (St. B. ross. tom VIII str. 40). Potomstwo ogiera Gonzalo znane jest na torach wyścigowych: „Kudak", „Dandy", „Non-ens".

* * *

P. Kazimierz Tuczyński kupił od hr. Jana Tarnowskiego z Chorzelowa ogiera czystej krwi angielskiej „Eneo" ur. w r. 1892 po Ihnur od Bez końca po Talisman od Laurel Crown po Kingcraft (O. G. B. tom V, str. 66).

Część ekonomiczna.

Wiedeń 27 lipca.

(Z.). Jakkolwiek sfery finansowe przygotowane były od dawna na to, że z objęciem urzędu prezydenta Stanów Zjednoczonych przez Mac Kinley'a rozpocznie się okres wojny celnej między Ameryką a Europą, mimo to jednak wiadomość, że za kilka dni już rozpoczną w Stanach obowiązywać wyższe cła, wywołała wielkie zirytowanie na giełdach. Czuć je było na każdym kroku. Najśmielsi spekulanci trzymali się zdala od targu, to też rozmiary obrotów były minimalne. — Horoskop żniw pogarsza się z każdym dniem. Dziś już nie ulega wątpliwości, że dla wewnętrznej konsumcyi naszej monarchii zabraknie ziarna. Wszystkie te okoliczności złożyły się na wytworzenie ogólnej tendencyi zniżkowej.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 367·25, węgierskie 395·—, Anglobanki 161·—, Uniony 300·—, Bankvereiny 260·—, Länderbanki 240·50, Ludwiki 216·50, Czerniowieckie 284·50, Elbethale 259·—, Renta papierowa 102·05, srebrna 102·20, austryacka złota 123·25, austr. renta wal. kor. 101·40, węgierska złota 122·75, węgierska renta wal. kor. 100·20, dukat 5·63, 20-frankówka 9·52—, marki 11.74—, ruble 1.26½.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 29 lipca. Poseł Kaltenegger z katolickiego stronnictwa ludowego, ogłosił, że dwaj zagorzali obstrukcyoniści, narodowcy niemieccy Promber i Steinwender, jeszcze przed wydaniem rozporządzeń językowych, znali dokładnie ich treść, a nawet sami zachęcali hr. Badeniego do ich wydania.

Berlin 29 lipca. Podobno rząd niemiecki zagroził, że usunie się od dalszego udziału w rokowaniach pokojowych, jeżeli finanse greckie nie zostaną poddane pod kontrolę mocarstw europejskich.

Przyjechali dnia 29 lipca. J. hr. Harrach z Pragi. W. hr. Reyowa z Psar. Bojomir Żarski z Jarosławia. St. Targoński z Podola ros. W. Haszczyc z Przemyśla. Dr S. Reich z Rzeszowa. St. Bogdanowicz z Pyszkowiec. J. Fischer z Wiednia. Dr. F. Klein z Szomolany (Węgry). Fr. Daniek z Adamsthal. A. Jędrzejowicz z Starego miasta. Kaz. Weydlich z Podola austr. H. Rosenthal z Berna.

Przyjechali dnia 29 lipca H. Zakrzewska z Wiktorowa. M. Zaleski z Podola ros. K. Rojowski z Polski. Z. Zaruba z Moskwy. K. Drahanowski z Kamionki Strumiłowej. H. Giunio i E. Schneider z Rohatyna. E. Kukula z Żółkwi.

Przyjechali dnia 29 lipca Ks. W. Dzbikowski z Rosyi. Z. Zławodzki z Drohobycza. M. Brafowa z Brodów. W. Skoczyński z Dębicy. K. Etingerowa z Tarnopola. M. Goldenberg z Drohobycza. F. Gelb z Krakowa. W. Nowakowski z Stryja. M. Chydziński i W. Głogiewicz z Jass. M. Nawrocki z Suczawy. L. Podoliński z Warszawy. K. Oziembło z Krakowa. F. Soykovitz z Bawaryi.

Przyjechali dnia 29 lipca. Z. Zawistowski z Krowinki. Dr. adw. Byk z Brodów. J. Beck z Pragi. N Jełowicki z Stryja. Br. Grottinger z Paryża. J. Kubicki z Krakowa. Al. Ligięza z Berlina. K. Paszkowski z Podola. Z Szymański z Wiednia. J. Mataczewski z Przemyśla. S. Cisowski z Żółkwi. A. Michałowicz z Brodów. K. Lakosch z Morawy. B. Porębski z Jarosławia. J. Benisch z Przerowa.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 29 lipca. (Z Izby handlowej)

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 215.— do 218.—. Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 284.— do 288.—. Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 380 — do 390.—. Akc. garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 210.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 250.— do 260.

Listy zastawne za 100 zł.; Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 5 proc. a 10 proc. prem. 110.30 do 111.—, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 100.— do 100.70 4 pr. los. w 60 lat 96.70 do 97.40. Banku kraj. 4 i pół proc los. w 51 lat. 100.50 do 101.20. Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat 97.50 do 98.20. Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I. emisya) 97.80 do 98.50 4 proc. los. w 43 i pół latach 97·60 do 98.30. 4 proc. los. w 56 lat 97.20 do 97.90.

Obligi za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego 4 proc. 98.10 do 98.80, Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.75 do —.—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 100·20 do —.—. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4%, po 200 koron 96.50 do 97.20. Pożyczki kraj. 6 proc. 103.— do —.—, 4 i pół proc. —.— do —.—, 4 proc. z r. 1891 97.90 do 98.60, 4 proc. po 200 koron z roku 1893 96.80 do 97.50.

Monety. Dukat cesarski 5.60 do 5.70. Napoleondor 9.47 do 9.57. Półimperyał 9.55 do —.—. Rubel rosyjski papierowy 1.26 do 1.27 100 marek niemieckich 58.45 do 58.95

Wiedeń 28 lipca. Notowania wieczorne. Przy zamknięciu giełdy popołudniowej stały akcye kredytowe na 368·25, węgierskie akcye kredytowe 396.—, anglobanku 161·75, związku bankow. 260.50, unionbanku 300.00, länderbanku 241.75, kolei państwowych 344·75, lombardów 85·—, kolei nadłabskiej 258.—, akcye tytoniowe 162.50, rima 255·50, alpiny 132·40, renta majowa 102·10, renta koronowa węgierska 100.25, losy tureckie 64.30, marki 58·70, ruble 126.—.

40)

KTO WINIEN?

Powieść

przez

E. BRADDON.

Tłómaczyła z angielskiego baronowa Zofia Hartingh.

(Ciąg dalszy).

Sir Everard zniósł spokojnie pałający wzrok młodzieńca, powieki jego ani nie drgnęły nad siwemi i zimnemi jak stal oczyma, usta zachowały surową swą linię pod srebrzystym wąsem, ciemne brwi tylko ściągnęły się dumą czy oburzeniem; ale to było wszystko.

— Nie posprzeczaliśmy się nigdy — odrzekł zimno.

— Ale uczucia pańskie względem niego, przywiązanie, ufność... czy te nie uległy żadnej zmianie?

Stalowe oczy nagle zabłysły ogniem, twarz zmieniła się wyrazem tak strasznego uniesienia i gniewu, jak oblicze Jowisza, ciskającego pioruny krwawej zemsty.

— Młodzieńcze! — krzyknął — pytania twoje ubliżają memu honorowi i przynoszą ujmę pamięci twego ojca. Dobre imię, jakie on po sobie zostawił, jest najlepszą odpowiedzią na nie. Nie pozwolę ci grzebać w popiołach przeszłości dla zaspokojenia czczej ciekawości twojej. Nie poddam się badaniom twoim. Uchybiłeś mi przed chwilą, wyrażając tak niedorzeczne podejrzenia, iż nie zdobyłem się nawet na odparcie ich. Ale podając w wątpliwość honor ojca twego, posuwasz się za daleko.

— Wybacz mi, sir. Nie umiem wyrazić, jak boleję nad tem, że obraziłem pana niechcący; ale pomyśl, jak mało żądam: chcę tylko wiedzieć, czy uczucia pańskie względem mego ojca nie zaznały żadnej zmiany... czy wytrwały one w swej sile aż do dnia jego śmierci?

— Gdybym ci odpowiedział twierdząco, byłbyś zadowolonym. Ale odmawiam ci prawa badania mnie w tej kwestyi. Powiedziałem ci już raz, że nigdy nie posprzeczałem się z ojcem twoim, i to powinno ci wystarczyć.

— A jednak mówiono mi, że owego fatalnego dnia jakiś chłód zakradł się między was, że stosunek wasz nie był taki jak zwykle.

— Ci, którzy cię poinformowali w tej mierze, lepiejby zrobili, zwracając większą uwagę na polowanie, a mniejszą na zachowanie się sąsiadów — odparł sir Everard. — Obława na lisa nie jest stosowną porą ani miejscem do popisywania się przyjaźnią. Czy dlatego że byliśmy przyjaciółmi, mieliśmy koniecznie trzymać się cały czas jeden drugiego? O ile sobie przypominam, jechałem na niespokojnej karej klaczy, która objawiała wyraźną niechęć do kasztana twego ojca. To jedno byłoby już dostateczną przyczyną tłumaczącą nasze rozdzielenie się.

Morton zawstydził się, słysząc to. Argument ten niweczył od razu podejrzenia sir Naniela. Może reszta przypuszczeń jego była również pozbawioną wszelkich podstaw i dającą się łatwo usunąć.

— Przebacz mi, sir — prosił zdjęty skruchą. — Staraj się zapomnieć, co powiedziałem... przez miłość dla Izi!

— Tak, chyba przez miłość dla niej.

— Mam ochotę iść do niej.

— Idź. Ja wolę pozostać samotnym. Zbudziłeś we mnie marę smutnych wspomnień, otwarłeś na nowo źródło dawnej goryczy.

— Wybacz mi, sir — powtórzył Morton błagalnie.

I poszedł do swej narzeczonej, którą zastał siedzącą na niskim pufie przed maleńkim stoliczkiem, z dużym koszykiem do roboty, stojącym obok, zajętą szyciem dziecięcych sukienek na doroczne rozdawnictwo dla ubogich, połączone z różnemi zabawami i niespodziankami dla młodych i starych, mające się odbyć w wigilię Bożego Narodzenia. Z jakąż rozkoszą Morton zasiadł obok małej pracownicy i nawlekał jej igły niewprawnemi rękoma i pomagał zwijać grube kłębki czerwonej włóczki, wyobrażając sobie, że jej pomaga.

Sir Everard po rozstaniu się z Mortonem opuścił stołowy pokój, a nałożywszy na siebie futro i czapkę. wyszedł na szeroki taras, po którym chodził całą godzinę po wietrze i chłodzie, przypatrując się czarnym obłokom i blademu księżycowi i śledząc ruchome cienie, które wielkie gałęzie cedrów rzucały na trawnik.

Burzliwa noc zdawała się pasować do jego usposobienia. Gdy dość już miał tarasu, zeszedł do ogrodu i błądził po szpalerach i ścieżkach, aż zaszedł nad ciche jezioro, uśpione wśród sitowia, skąd zbudzony ze snu biały łabądź wypłynął ku niemu, mknąc bez szelestu po czarnej toni wód.

Przedostawszy się na drugą stronę jeziora, sir Everard przystanął na szeroko rozłożonym trawniku i spojrzał w stronę starego dworu, kędy okna salonu Izi świeciły różnobarwnie wśród nocy, niby cudowna lampa Aladyna.

— Moja gwiazdo!... moja ty rozkoszy jedyna! — szepnęły usta ojcowskie. — Póki ciebie mam, póty posiadam wszystko... A teraz postanowienie moje zapadło. Ukochana moja, zadam ci ból, ale nie na długo. Miłość ojca zastąpi ci to, co utracisz...

ROZDZIAŁ XXI.

Robota Izi została skończoną na wigilię Bożego Narodzenia i wszystkie przygotowania były porobione na przyjęcie licznych jej protegowanych, mających się zebrać w obszernej kancelaryi, w której Humphrey Vargas uczynił niegdyś swoje zeznanie. Pokój wyglądał przyjemnie w jasnem oświetleniu i przystrojeniu gałązkami świerków i jemioły, z zastawionemi w pośrodku do obfitej wieczerzy dwoma długiemi stołami. Na poprzecznym, ustawionym w rogu stole, leżały przysposobione przez Izię dary: płaszczyki i kapturki dla małych dzieci, czapeczki i kaftaniki dla starszych dziewcząt, ciepłe, na drutach robione szaliki i skarpetki dla mężczyzn, wełniane spódnice dla starszych kobiet, paczki herbaty i tytoniu w jedwabnych woreczkach, zrobionych ze starych sukien Izi, wreszcie gdzieniegdzie kokardami przystrojony, rurkowany czepek, i czerwona kamizelka, której jaskrawa barwa odcinała się na tle szarej masy barchanu i grubego sukna.

Izia, ubrana w czarny aksamitny kostyum, cała w uśmiechach, krzątała się po sali, częstując uprzejmie gości swoich herbatą i ciastkami, zamieniając z każdym życzliwe słówko, świadoma imienia i nazwiska, spraw domowych, wieku, dolegliwości, trosk i nadziei każdego z obecnych. Morton, dwie jego siostry i Elżunia Hardman pomagali jej robić honory. Miss Blake prezydowała przy samowarze, rozlewając herbatę i kawę w filiżanki. Było to wszystko, razem wziąwszy, najprzyjemniejsze zebranie, na jakiem Morton znajdował się kiedykolwiek. To też zapomniał o swoich osobistych kłopotach, w słodkiem upojeniu radości, jakiej doznawał na widok ogólnego przywiązania, jakiem otaczano Izię, która jak anioł litości przesuwała się wśród nędzy ludzkiej, niosąc pociechę dla serc a rozradowanie dla oczu. Biedni przybyli z bliska i z daleka na wezwanie dobrej panienki; nie ograniczano się tylko na miejscowej parafii. Wszyscy protegowani miss Dory Blake zostali również zaproszeni.

Jedna tylko chmurka ćmiła jasne niebo Izi, a ta była tak czarną, że wolała nie myśleć o niej z obawy, że nie podoła zadaniu uszczęśliwiania drugich. Sir Everard wyjechał za interesami do Londynu i po raz pierwszy, odkąd ojciec i córka połączyli się z sobą, miał on spędzić święta Bożego Narodzenia po za domem. Było to powodem ciężkiego zmartwienia dla kochającej córki, która nie pojmowała dotąd żadnej przyjemności życia bez ojca i której świat wydawał się pustką, gdy jego nie było. Nie przesadzała mówiąc, że ojciec będzie zawsze u niej pierwszym. Żaden nowy związek nie był w stanie rozluźnić węzłów dawnego przywiązania, które przeniknęło do głębi jej serce, wypełniając je dotąd całe, i wzrastało wraz z jej wzrostem, a wzmacniało się w miarę, jak sama nabywała sił.

— Jakże okropnie smutne będą dla mnie święta bez papy! — westchnęła, tłómacząc miss Dorze Blake, że ojciec zmuszonym był wyjechać dla jakiejś bardzo pilnej sprawy.

— Musisz je więc spędzić z nami, moja pieszczoszko droga! — odparła ciotka. — Uczynimy wszystko, co będzie w naszej mocy, aby cię rozweselić. Każ twojej pannie służącej spakować zaraz rzeczy i jedź z nami dziś wieczór, gdy odprawisz tych poczciwych ludzi.

— Nie wiem, czy papa życzyłby sobie, abym opuściła dom w jego nieobecności — wahała się Izia.

— Moje drogie dziecko, przecież ojciec pozwala ci jeździć do Tangley Manoru tak często, jak sama chcesz. Całą odpowiedzialność za to wykroczenie biorę na siebie. Umieszczę cię w pokoju obok mojej sypialni i będziesz moim wyłącznym gościem i źrenicą oka mojego. Jeżeli sir Everard będzie się gniewał za powrotem, to już tylko na mnie.

— Nie sądzę, aby aż do tego przyszło — uśmiechnęła się wdzięcznie Izia. — Zanadto on ciocię kocha i ceni i pochwala wszystko to, co ciocia robi. To też, jeżeli naprawdę chcecie mnie mieć, to pojadę z największą przyjemnością. Jeżeli już nie mogę być z kochanym papą, to niechże mam tę pociechę, że będę z wami.

— Kiedy tak, to rzecz ułożona — zdecydowała miss Blake.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Masłowski. Papier z fabryki Fijałkowskich w Białej. Drukarnia tow. St. Maniecki i Spółka Hotel Żorża. Zarządca W. Hodak.